

**włodzimierz
ankowiak**

Nessie i inne

Potwory głębin

Sprawa Yeti



Monstra świata

Włodzimierz Antkowiak

Monstra świata

"INTERCOR 1989"

Projekt okładki

Romuald Ekowski

Redaktor

Jerzy Stachura

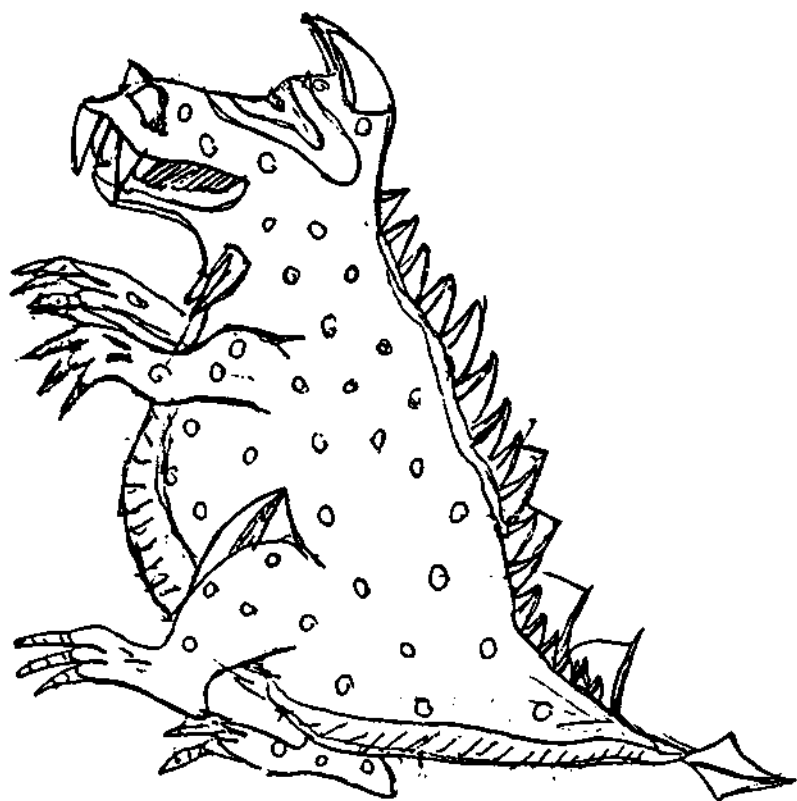
Redaktor techniczny

Anna B. Grochulska

© INTERCOR GDYNIA

ISBN 83-85258-00-1





NESSIE I INNE

Nessie..

Miejsce jest jakby stworzone dla sensacyjnych zdarzeń. Przed 10-12 tysiącami lat, do końca ostatniego zlodowacenia, jezioro Loch Ness w Szkocji było morskim fiordem. Gwałtowne obsunięcie się skał na skutek ruchów górotwórczych zamknęło nagle drogę do morza. Loch Ness stało się długim, 36-kilometrowym głębokim rowem, którego średnia głębokość wynosi 133 metry, a największa około 300m. Szerokość zbiornika nie przekracza 2,5 kilometra. Temperatura wody przez cały rok utrzymuje się w granicach 5,5 · 10°C i - jak sięga ludzka pamięć - jezioro nigdy nie zamarzało. Akwen połączony jest obecnie z morzem krótką i płytką rzeczką River Ness, która uchodzi do zatoki Moray w Morzu Północnym niedaleko miasta Inverness.

Pierwsza wiadomość o istnieniu w Loch Ness jakiegoś nieznanego, zamieszkującego głębiny potwora - ochrzczonego w paręnaście wieków później piesszczotliwym mianem "Nessie" - pochodzi od kronikarza misjonarza św. Columbana, który w VI wieku krzewił wiarę chrześcijańską wśród plemienia Piktów. Któregoś dnia znalazł się on nad brzegiem Loch Ness. Według relacji kronikarza dostrzec miał wówczas wodnego "smoka" ścigającego nieostrożnego pływaka i ocalił go jakimś stosownym, wymówionym w porę zaklęciem. Relacja pochodzi z 565 roku.

Przez następne stulecia wieści o potworze pojawiały się rzadko. Mieszkańcy nadbrzeżnych wiosek niechętnie zresztą mówili o nim, a już wyjątkowo starannie unikali poruszania tego tematu w obecności obcych. Jeszcze na początku lat trzydziestych naszego stulecia prospekty turystyczne reklamujące okolice jeziora nie wspominały o Nessie, aby nie zniechęcać ewentualnych przyjezdnych.

Wszystko zmieniło się diametralnie w roku 1933, kiedy to ukończono budowę autostrady Glasgow-Inverness, przeprowadzonej wzdłuż północno-zachodniego brzegu jeziora. W wyniku wzmożonego ruchu turysty-

tycznego wzrosła gwałtownie ilość doniesień o zaobserwowaniu w wodach Loch Ness jakiegoś "wielkiego i niezidentyfikowanego" stwora. Do końca roku zanotowano około 50 obserwacji. Chyba najciekawsze jest sprawozdanie złożone przez pięcioro świadków - dwie Szkotki, właścicielki nadbrzeżnego domu, i trzech przygodnych kanadyjskich turystów - którzy przez 10 minut z odległości około 900 metrów obserwowali głowę i szyję płynącego stwora. W październiku 1933 roku wielki londyński dziennik "Daily Express" poświęcił całą stronę tej sprawie, a radio londyńskie ostentacyjnie rozpałiło ciekawość emitując serię audycji poświęconych fenomenowi z Loch Ness.

Więść, która była dotąd ostrożnie skrywana przez tubylców, stała się nagle magnesem przyciągającym przyjezdnych skuteczniej niż dzikość pejzażu czy ruiny paru szkockich zameczków. Nad brzegi Loch Ness zaczęli ścigać już nie tylko Anglicy, ale również ciekawscy z innych krajów i kontynentów. Kapitan jednego z parowców kursujących po Kanale Kaledońskim - Loch Ness stanowi jego główną część - zwierzał się dziennikarzom, że pasażerowie wchodzący na statek zapewniają go gremialnie, iż nie wierzą w potwory, a potem w czasie 3,5-godzinnego rejsu stoją w komplecie na pokładzie nie spuszczać oczu z powierzchni jeziora.

Wkrótce publiczność miała nową sensację. 12 listopada 1933 roku, w niedzielę, H. Gray, pracownik huty aluminium w Foyers, odbywający spacer wzdłuż jeziora, dostrzegł i sfotografował wychylający się z wody podłużny przedmiot. Spośród pięciu gorączkowo wykonanych zdjęć cztery były nieudane, piąte zaś przedstawiało "opływowy kształt w fontannie wzbitej wody". Oprócz entuzjastów, dla których zdjęcie było długo oczekiwany dowodem istnienia potwora, znaleźli się również sceptycy. J.R. Norman z Brytyjskiego Muzeum Historii Naturalnej uważał, że fotografia przedstawia "pień zgnitego drzewa, który wyptynął na powierzchnię, gdy w jego komórkach wytworzyły się gazy". Kwestionowano też samą autentyczność zdjęcia. Eksperci z firmy Kodaka, na której filmie wykonano negatyw, wykluczyli jednak możliwość retuszu.

21 kwietnia 1934 roku londyński "Daily Mail" zamieścił kolejne zdjęcie. Jego autorem był lekarz z Londynu, ppłk Kenneth Wilson. Wszystkie okoliczności wykonania fotografii ujawniono dopiero po jego śmierci, gdyż doktor Wilson, z obawy o swą praktykę zawodową, nie chciał, aby jego nazwisko wiązano ze sprawą Nessie. Nie twierdził zresztą nigdy, że zdjęcie przedstawia "potwora"; sfotografował "coś", co poruszało się po wodzie, a potem zanurzyło się.

Wilson był hobbystą fotografującym amatorsko ptaki. Wczesną wiosną 1934 roku przebywał wraz z przyjacielem we wschodniej części jeziora, niedaleko Inverness. Znajdowali się właśnie na wysokim, skalistym stoku, około 200 metrów nad lustrem wody, kiedy usłyszeli głośny plusk i w odległości 200-300 metrów od brzegu dostrzegli jakiś obiekt poruszający się po powierzchni. Doktor zbiegł nad brzeg, aby zbliżyć się do obiektu. Zdążył wykonać cztery zdjęcia.

Dwa pierwsze okazały się zupełnie niewyraźne. Na trzecim widać małą głowę i długą szyję. Czwarte przedstawia tę samą głowę tuż przed zanurzeniem. Skala (wielkość) i kąt fotografowanego obiektu są inne niż na poprzednim zdjęciu, co dowodzi, że obiekt dość szybko się przemieszczał. Nikt jakoś nie zwrócił na ten fakt uwagi. Naukowcy dopatrzyli się na zdjęciu dryfującego pnia, nurkującej wydry, kormorana, perkoza, bądź też innego ptaka wodnego. Dr R.Ch. Andrews z Amerykańskiego Muzeum Historii Naturalnej rozpoznał na fotografii pletwę grzbietową rekina ludojada. Rekin miał przedostać się z Morza Północnego do Loch Ness w czasach, kiedy River Ness była znacznie głębsza niż obecnie.

Po krótkim okresie euforycznego zainteresowania tajemnicą jeziora, w następnych latach sprawa potwora uległa niemal zapomnieniu. Doniesienia stawały się coraz bardziej stereotypowe, a ich schematyczność nie budziła emocji. Kilka prymitywnych, czasem śmiesznych fałszerstw - "Daily Mail" opublikował na pierwszej stronie zdjęcia śladów potwora odcisniętych w piasku, które, jak okazało się wkrótce, jakiś dowcipniś wykonał przy pomocy parasola - ostudziło ciekawość opinii publicznej do reszty. W ciągu

następnych dwudziestu lat relacje o zauważeniu Nessie odnotowywały z rzadka już tylko lokalne gazety.

W 1952 roku odżyła sprawa latimerii, ryby z grupy trzonopłetwych, dochodzącej do kilku metrów długości. Ryby te pojawiły się w okresie dewonu, tj. około 320 milionów lat temu, wymarły u schyłku ery paleozoicznej około 200 milionów lat temu, a ostatnie ich kopalne szczątki pochodzą ze schyłku ery mezozoicznej, sprzed 70 milionów lat. Tymczasem w grudniu 1939 roku nieoczekiwanie wyłowiono żywą latimerię w okolicach East London w południowej Afryce. Okazało się wkrótce, że latimeria do dziś jest dość często spotykana w Oceanie Indyjskim, łowią ją tamtejsi rybacy, a na miejscowych targowiskach nie należy wcale do rzadkości. W roku 1957 dr Anton Bruun opisał po raz pierwszy odkrycie małego mięczaka neopiliny, rzekomo wymarłego od czasu ery paleozoicznej, którego w 1951 roku wyłowił u wybrzeży Kostaryki duński statek oceanograficzny "Galatea". Przypomniano sobie też żyjącego do dziś na Nowej Zelandii prymitywnego jaszczura tuatare, pochodzącego z paleozoiku. Paleontolodzy zauważyli ostrożnie, że zwierzęta te są mniej więcej równe wiekiem lub nawet starsze od wielkich dinozaurów. W 1955 roku belgijski zoolog Bernard Heuvelmans stwierdził wręcz: "... nie ma tak pierwotnego zwierzęcia, które nie mogłoby przetrwać do obecnej doby, i w istocie znajdujemy późnych potomków wszystkich prawie grup, które niegdyś bujnie pleniły się na ziemi. Jednakże najbliższa wzmianka o tym, że jakiś dinozaur, latający gad czy małpolud mógłby przeżyć do naszych czasów, wyprowadza z równowagi większość naukowców".

Entuzjastom Nessie wystarczyło to w zupełności. Strony gazet znowu zapelnily się spekulacjami na temat wielkiego zwierzęcia - lub zwierząt zamieszkujących głębiny Loch Ness. Niedługo mieli oni zyskać dodatkowy atut.

W 1960 roku nad brzegiem jeziora zainstalował się z kamerą filmową angielski badacz Tim Dinsdale. Rankiem 23 kwietnia przemierzając jak co dzień skalisty brzeg dostrzegł on na powierzchni wody grzbiet jakiegoś wielkiego, żywego zwierzęcia - "długi, obły kształt wyraźnie mahoniowego

koloru". Obiekt poruszał się po wodzie powolnymi, zygzakowatymi ruchami, a w pewnym momencie zanurzył się gwałtownie wzbijając fontannę wody. Dinsdale sfilmował to wszystko z odległości około 1100 metrów.

W czerwcu 1960 roku film pokazała telewizja BBC, a wkrótce potem telewizje wielu innych krajów. Przyjęcie było mocno zróżnicowane: od histerycznego niemal zachwytu, po skrajny sceptycyzm. Niektórzy widzieli na filmie załogową łódź wiosłarską, inni wolno płynącą motorówkę. Przewidujący Dinsdale sfilmował wcześniej motorówkę płynącą tym samym kursem i w takiej samej odległości od brzegu co zaobserwowane zwierzę. Różnice były istotne i bezdyskusyjne.

Bezpośrednim następstwem ponownego międzynarodowego rozgłosu, jaki dzięki filmowi zyskała sprawa Nessie, było powołanie Loch Ness Phenomena Investigation Bureau - Biura Badań Fenomenu Loch Ness. Pierwszym sponsorem badań założonych w programie LNPIB był chicagowski Adventurers Club, który wyasygnował na ten cel 5000 dolarów. Amerykańska dotacja starczyła na opłacenie ekspertyzy filmu zleconej specjalistom od zdjęć lotniczych z RAF-u. Postępując się najnowocześniejszą aparaturą wojskową ustalili oni, że widoczny na filmie obiekt mógł mieć 10-13 metrów długości, nie mniej niż 1,8 metra szerokości oraz 1,5 metra wysokości. Poruszał się z prędkością około 12 mil na godzinę. W ekspertyzie stwierdza się ponadto, że tajemniczy obiekt "nie był na pewno łodzią, kajakiem czy czymś podobnym, ani okrętem podwodnym, lecz prawdopodobnie obiektem żywym".

Dało to nowy impuls do działania zwolennikom Nessie. Latem nie było dnia, aby przynajmniej kilka osób uzbrojonych w kamery nie wypatrywało potwora, często na całej powierzchni jeziora. Przyniosło to efekt w postaci ustnych doniesień - 9 czerwca małżeństwo lekarzy z Anglii zauważyło 5 osobników jednocześnie - oraz paru niezbyt przekonujących filmów, z których żaden w sposób jednoznaczny nie ukazywał zwierzęcia. Autorem chyba najciekawszego z tych filmów był członek LNPIB, R.H. Lowry, który zarejestrował na taśmie charakterystyczną falę układającą się na kształt litery

"V", wywołana przez jakiś duży, poruszający się tuż pod powierzchnią obiekt. Dla badaczy z LNPIB był to kolejny cenny dowód potwierdzający istnienie wielkiego zwierzęcia w Loch Ness, dla naukowców był bezwartościowy.

W następnych latach doniesienia zaczynają się powtarzać, a zainteresowanie fenomenem Loch Ness - mimo krótkotrwałych sukcesów LNPIB - wyraźnie słabnie. W 1965 roku jest zaledwie 9 meldunków, w 1966 - 32, ale w kolejnym roku znowu tylko 19.

W 1968 roku następuje wreszcie przełom - do akcji wkraczają Amerykanie. Dotąd subsydiowali tylko program badawczy LNPIB, teraz zamierzają wytropić potwora sami. Mają ofensywną koncepcję - będą szukać Nessie w jej naturalnym środowisku, pod wodą. Amerykanie - grupa naukowców z Uniwersytetu w Birmingham - są doskonale wyposażeni, dysponują między innymi nowym typem echosondy o zasięgu 24 kilometrów. Jedna z serii pomiarów przynosi długo oczekiwany efekt - tajemnicze echa pochodzące od "dużego obiektu". Sygnał zniknął i pojawiał się na nowo przez około 10 minut. Dr H. Braithwaite, który opracowywał wyniki badań, pisał w sprawozdaniu: "Cały czas obiektowi A towarzyszył obiekt B - echo charakterystyczne dla stada ryb - i obiekt C, nieznanego pochodzenia, poruszający się z prędkością 15 mil na godzinę i nurkujący z prędkością 130 metrów na minutę. Wydaje się, że jego długość wynosiła wiele metrów". Żadne ze znanych dotąd zwierząt żyjących w Loch Ness nie osiąga takich rozmiarów.

W następnym roku wspomniany już Tim Dinsdale, jeden z najaktywniejszych działaczy LNPIB, wraca do sprawy sprzed siedemnastu lat, do tajemniczej katastrofy, której w 1952 roku uległa łódź "Crusader" z silnikiem o napędzie odrzutowym, na której słynny wówczas angielski kierowca wyścigowy John Cobb zamierzał pobić rekord szybkości na wodzie. Dziś o tragedii przypomina pomnik poświęcony kierowcy, ustawiony nad brzegiem Loch Ness dokładnie naprzeciw miejsca, gdzie jego łódź niespodziewanie zderzyła się z zagadkową falą i kapotowała. Jezioro tego dnia było gładkie jak lustro - w innych warunkach Cobb nie mógłby

podjąć próby. Nigdy nie wyjaśniono, dlaczego gładka powierzchnia wody nagle zafalowała.

Fala była zresztą prawie niewidoczna z brzegu i przyczyna katastrofy "Crusadera" długo pozostawała zagadką. Dinsdale zdobył kopie filmu, na którym zarejestrowano próbe. Eksperci przejrzeni film klatka po klatce. Na jednej z nich, poprzedzającej katastrofę, spostrzegli coś, co było niezauważalne w czasie normalnej projekcji - słynną "V"-falę, podobną do tej, jaką w 1960 roku zarejestrował Lowry.

Dinsdale, który fenomenowi z Loch Ness poświęcił dwie książki - "Loch Ness Monsters" i "The Leviathans" - w tej drugiej tak sformułował swe domysły dotyczące tego zdarzenia: "Myślę, że jedno ze zwierząt znajdowało się tuż pod powierzchnią. Ryk silnika "Crusadera" musiał je przestraszyć, tak że zaczęło płynąć gwałtownie tworząc 30-centymetrową falę, długą na setki metrów. *1...1* Łódź rozwijająca prędkość 200 mil na godzinę może w krótkiej chwili przebyć szmat drogi. Przy takiej prędkości fale o wysokości tylko kilkunastu centymetrów niechybnie spowodują katastrofę". W starym roczniku "Daily Telegraph", w numerze, który ukazał się w dzień po katastrofie, Dinsdale znalazł ponadto wywiad z jednym z widzów, który był świadkiem, jak "Crusader" uderzył w trzy kolejne fale. Obserwatorzy siedzący naprzeciw miejsca katastrofy widzieli, jak na moment przed zderzeniem Cobb głębiej wtulił się w fotel.

Lata siedemdziesiąte nad Loch Ness to już niepodzielna era Amerykanów. W 1971 roku na scenie pojawia się Dr Robert H. Rines, fizyk i prawnik z Bostonu, dynamiczna osobowość, która na dziesięciolecie zdominuje charakter badań fenomenu Loch Ness. Rines ma poparcie Bostońskiej Akademii Nauk Praktycznych, liczącej 350 członków, oraz wpływowego dziennika "New York Times", który zgłosił gotowość pokrycia kosztów ekspedycji. Rines jest ponadto dziekanem Szkoły Prawniczej Franklina Pierce'a w Concord w New Hampshire. Akademia, której przewodniczy, stawia sobie za cel promocję badań w wybranych dziedzinach wiedzy oraz propagowanie zdobyczy techniki wśród społeczeństwa USA. Zajmuje się

ponadto rozszyfrowaniem zagadki wielkich nieznanych zwierząt, zaprzatającej od lat uwagę opinii publicznej.

Oprócz standardowego wyposażenia w sonary, Amerykanie przywożą nowość techniczno-elektroniczną, stroboskopową kamerę do zdjęć podwodnych. Zapowiadają "lato prawdy" dla Nessie. Wyprawa kończy się pełnym fiaskiem ekipy.

Ale w następnym roku Amerykanie są znowu. Zakładają bazę nad zatoką Urquhart, która stanowi przedłużenie jeziora, w pobliżu wsi Drumnadrochit. W poprzednim dziesięcioleciu właśnie z tych okolic pochodziła większość doniesień o pojawieniu się Nessie. Tym razem stroboskopowa kamera sprzężona jest z echosondą. I pewnego dnia - sukces! Ekran oscyloskopu sygnalizuje obecność jakiegoś znacznych rozmiarów obiektu pod łodzią. W tym momencie kamera wykonuje z bliskiej odległości dwa udane zdjęcia tego samego obiektu.

To jest chyba nareszcie to, na co czekano. Zdjęcia pokazują szeroką, rombowałą płetwę długości około 2 metrów, oraz fragment brzucha wielkiego zwierzęcia. Ciało pokryte jest chropowatą skórą. Materiał filmowy i wyniki sonarowania analizują między innymi czołowi eksperci NASA. Stwierdzają, że zapis oscylografu potwierdza w sposób bezdyskusyjny autentyczność zdjęć. Długość zwierzęcia oceniają na 6-9 metrów, wymiary płetwy - 1,80-2,40 metra długości i 0,6-1,2 metra szerokości. Ogon ma długość co najmniej 2,5 metra. Zdaniem zoologów widoczna na zdjęciu płetwa nie należy do żadnego ze znanych zwierząt. Badacze z amerykańskiego New England Aquarium wyrażają opinię, że nie jest to ssak.

W następnych latach Loch Ness przeżywa niemal najazd ekip badawczych z różnych krajów, między innymi zjawiają się po raz pierwszy Japończycy ze swą elektroniczną supertechniką. Oczywiście rośnie gwałtownie ilość zjeżdżających nad jezioro turystów. Biura podróży zbierają bogate żniwa. Pensjonaty, hotele i rybackie chaty mają komplety gości. Muzeum Nessie założone w Drumnadrochit przez Ronalda Brennera odwiedza każdego sezonu ponad 100 tysięcy zwiedzających.

Corocznie jest też nad jeziorem ekipa Rinesa. W 1975 roku ich podwodne kamery sprzężone z sonarami wykonują wiele zdjęć. Na kilku z nich zarejestrowano ogromne, aktywnie poruszające się obiekty. Jedno, wykonane na zbliżeniu, pokazuje tył zwierzęcia z dwiema płetwami o kształcie nie znanym zoologom.

Teraz już coraz śmielej zaczynają zabierać głos uczeni. Dr Christopher McGowan z Królewskiego Muzeum w Ontario wyklucza hipotezę zakładającą, że Nessie może być ssakiem - wielorybem, ogromną foką czy delfinem. Zwierzęta te są szczególnie ruchliwe i z pewnością można by je widywać częściej, niż dotychczas widywano Nessie. Poza tym są to stworzenia dobrze znane ludziom. Roy P. Mackal, profesor biochemii na uniwersytecie w Chicago i autor wydanej w Stanach Zjednoczonych książki "The Monsters of the Loch Ness", oraz W.H. Lane autor "The Home of the Loch Ness Monsters", przypuszczają, że może chodzić o jakąś odmianę ogromnych salamander lub trytonów. Na poparcie swej tezy przedkładają współcześnie żyjącą salamandrze japońską, osiągającą długość ponad 1,5 metra, blisko spokrewnioną z ogromnym płazem, którego szczątki odkopano w Anglii w warstwie górnego miocenu. Fauna Loch Ness niewiele się zmieniła od czasu odcięcia zatoki od morza, które nastąpiło po ostatnim okresie lodowcowym. "Nie ma żadnych powodów, dla których ten typ płazów nie mógłby przetrwać przez pliocen (około 9 milionów lat temu) w okresie postglacjalny. Nie widać przeszkód, które uniemożliwiłyby jego istnienie w połodowcowym basenie Loch Ness" - stwierdza Lane.

Pojawiają się też hipotezy, że Nessie to wielka mątwka albo gigantyczny bezskorupkowy ślimak słodkowodny. Zwolennicy tych teorii powołują się na fakt, że nigdy nie znaleziono żadnych kostnych szczątków potwora. Jest także polski akcent w tym wszystkim - jeden z dziennikarzy PAP zajmujący się fenomenem Loch Ness pisze: "Najprawdopodobniej są to gigantyczne czarne pstrągi zamieszkujące w jeziorze i osiągające niekiedy wielkie rozmiary". Hipoteza jest typowo wędkarska - największym złowionym pstrągom daleko do długości 1 metra, a egzemplarze półmetrowe uważane są już za rekordowe. Dziennikarz nie wyjaśnia, jakie przyczyny miałyby

sprawić, że szkockie pstrągi postanowiły rozrastać się do kilku metrów. Teoria, że Nessie jest rybą, ma zresztą więcej zwolenników, choć ich-
liolodzy nie potrafili wskazać, o jakie ryby mogłoby chodzić. Łososie żyjące
w Loch Ness nie przekraczają długości 1,2 metra. Największymi słod-
kowodnymi rybami Europy są sumy dochodzące do 3 metrów długości i
osiągające wagę do 300 kilogramów, ale sumów nie ma w Loch Ness.

Chyba najpopularniejsza jest teoria, że szkocki potwór to gad.

Mała głowa, długa szyja, beczkowaty tułów i płetwowe kończyny Nes-
sie zwracają uwagę wielu paleontologów na jej podobieństwo do
plezjozaurów, dużych gadów wodnych prowadzących drapieżny tryb
życia. Rozwinęły się one w środkowym triasie około 200 milionów lat temu,
a ich ostatnie kostne szczątki pochodzą sprzed 70 milionów lat. Plezjozaury
były prawdopodobnie żyworodne, gdyż nigdy nie wychodziły na ląd. Miały
długą szyję, krepy, okrągły tułów i długi ogon, oraz cztery płetwowe
kończyny; wypisz, wymaluj - Nessie. Fakt, że były to zwierzęta morskie,
nie zbija z tropu naukowców. Kiedy w wyniku ruchów tektonicznych
wydźwignęły się wzgórza Szkocji i Loch Ness zostało praktycznie
odizolowane od morza, niektóre z nich mogły się z czasem przystosować
do warunków słodkowodnych. Zresztą w szkockim jeziorze niekoniecznie
muszą żyć plezjozaury. Należały one do dużej grupy gadów znanej z
licznych odmian i gatunków, i wielu uczonych uważa, że w Loch Ness
mogła przeżyć jakaś odmiana endemiczna, lokalna, nie występująca na in-
nych terenach.

Interesującą hipotezę dotyczącą sposobu odżywiania się Nessie sformu-
łowal cytowany już wcześniej biochemik Roy.P. Mackal. Wyciągnął on
ciekawe wnioski z faktów, że dno w zatoce Urquhart, gdzie najczęściej
widywano potwory, ma bardzo ubogą roślinność, oraz że w zatoce tej,
przed wyruszeniem na tarło w górę licznie uchodzących tu strumieni,
zbierają się ogromne ławice łososi. Nessie nie może być roślinożerna,
zdaniem Mackala, podstawowy składnik jej diety stanowią właśnie łososie.
Uczony obliczył, że w całym zbiorniku przebywa około 1,7 miliona doros-
łych łososi o łącznej wadze około 680 tysięcy ton. Ta masa może - twierdzi

Mackal · wyżywić nie jedną, ale nawet 150-200 dorosłych Nessie. Uważa się zresztą powszechnie, że jeśli Nessie istnieje, musi ich być całe stado.

Mimo zajęcia w sumie ostrożnego stanowiska, wielu poważnych ludzi nauki zaleca kontynuowanie badań. Dr Christopher McGowan z Królewskiego Muzeum w Ontario mówi: "Nie widzę powodów, aby wątpić w fachowość naukowców z Bostońskiej Akademii Nauk Praktycznych, bądź w autentyczność ich doniesień. Z prawdziwą satysfakcją muszę stwierdzić, że istnieje wystarczająca liczba przekonujących dowodów na obecność niewyjaśnionego fenomenu w Loch Ness · wszystko wskazuje na istnienie wielkich wodnych zwierząt. Zagadka Loch Ness winna być obiektem skonsolidowanych i interdyscyplinarnych badań". Dr George R. Zug, kierownik wydziału płazów i gadów w Instytucie Smithsona w Waszyngtonie, stwierdza między innymi: "Jestem przekonany, że zebrane dane wskazują na obecność jakichś ogromnych zwierząt w Loch Ness, ale nie pozwalają ich niestety zidentyfikować. Mogą one jednak stanowić impuls do dalszych badań flory i fauny Loch Ness. Pozwalają również nie uchodzić za zwykłych szaleńców badaczom interesującym się tym zjawiskiem i pragnącym je wyjaśnić".

W 1975 roku ma miejsce jeszcze jedno znamienne wydarzenie. 11 grudnia tego roku w Pałacu Westminsterskim, który był świadkiem tylu historycznych przemówień i debat, zbiera się Izba Gmin, aby dyskutować nad sprawą... Nessie. Przez prawie trzy godziny świadkowie przedstawiają swe relacje, entuzjaści i członkowie LNPIB prezentują filmy, zdjęcia i wyniki sonarowania, uczeni ich interpretacje i własne hipotezy. Po burzliwej dyskusji, na wniosek dr Rinesa i Sir Petera Scotta · współzałożyciela LNPIB, przewodniczącego Światowego Funduszu na Rzecz Dzikich Zwierząt, syna znanego podróżnika Roberta F. Scotta, angielskiego zdobywcy bieguna południowego · Izba Gmin uznaje mieszkańca Loch Ness za zwierzę realnie istniejące i nadaje mu oficjalną naukową nazwę *Nessiteras rhombopteryx* · potwór Nessie z rombową płetwą.

Rines organizuje kolejną ekspedycję. Przygotowania trwają wiele miesięcy. Na początku czerwca 1976 roku pierwsi członkowie blisko 30-

osobowej międzynarodowej grupy instalują się nad zatoką Urquhart. W skład ekipy wchodzi szereg doskonałych specjalistów. Kierownictwo spraw związanych z fotografowaniem powierzono wybitnemu ekspertowi z NASA, Charlsowi W. Wyckoffowi, wynalazcy filmu używanego w czasie rejestracji wybuchów nuklearnych i powierzchni księżyca. Wśród aparatów ekspedycji znajduje się automatyczna kamera 16-milimetrowa wyposażona w kolorowe filmy, wykonująca zdjęcia co 15 sekund. Aparat jest wynalazkiem uczestnika wyprawy, wykładowcy z Instytutu Technologii w Massachusetts, dr Harolda Edgertona, który stosował go wielokrotnie przy filmowaniu zatopionych skarbów i statków, między innymi słynnego "Monitora" z okresu wojny secesyjnej, leżącego w wodach opływających przylądek Hatteras. Z kamerą zsynchronizowany jest inny wynalazek doktora Edgertona - olbrzymie pulsujące reflektory o sile światła dwukrotnie wyższej niż to, którym posługiwano się w czasie poprzednich badań. Inne kamery funkcjonować będą przy stale świecących się reflektorach zasilanych z łądu. Wszystko to pozwala na efektywną pracę kamer w promieniu zaledwie 12 metrów - filmowanie w Loch Ness jest szczególnie utrudnione ze względu na silne zmętnienie wody, z chmurami szlamu zalegającymi nad dnem.

Po raz pierwszy, dzięki kamerze telewizyjnej funkcjonującej całą dobę i stale nadzorowanej przez jednego z członków ekspedycji, siedzącego w nadbrzeżnej willi, życie w głębi jeziora jest przedmiotem stałej obserwacji. W momencie dostrzeżenia jakiegoś ruchu na ekranie telewizyjnym obserwator ma włączyć dwie zanurzone w wodzie kamery - jedną z filmem czarno-białym, drugą z kolorowym - co pozwoliłoby utrwalić obrazy stereoskopowe. Członkowie ekipy liczą na to, że Nessie być może sama podpłynie do podwodnego sprzętu zwabiona światłami i szumem silników elektrycznych. W czasie testowania kamer w potężnym akwarium w Bostonie zauważono bowiem, że rekiny, morskie żółwie i małe rybki wykazywały wprost niezwykle zainteresowanie zanurzoną w wodzie aparaturą.

Badaniami akustycznymi za pomocą echosond kieruje Martin Kleiner, specjalista od poszukiwań podwodnych. Badania metodą podczerwieni powierzono dr Georgowi Newtonowi z Instytutu Technologii w Massachusetts, który z obserwatorium zainstalowanego na wieży w ruinach średniowiecznego zamku Urquhart śledzi powierzchnię jeziora przy pomocy czulej aparatury, zdolnej wykazać 1-stopniową różnicę temperatury wody.

Mimo tak doskonałego wyposażenia technicznego i szeroko zakrojonego programu badań wyniki ekspedycji są dość skromne. Najbardziej owocne były dni 30 czerwca i 1 lipca. Zapis echosondy zasygnalizował wówczas obecność 3-metrowego, aktywnie poruszającego się obiektu w odległości 180 metrów od aparatu. Ale "mała Nessie" reaguje inaczej, niż ryby w akwarium. Obiekt posuwał się w stronę aparatu, następnie zwolnił, zatrzymał się, a po minucie oddalił się ostrożnie. Następnego dnia odebrano podobne sygnały z odległości około 170 metrów. Ponadto efektem tej samej ekipy jest umiejscowienie spoczywającego w mule, na głębokości około 100 metrów, przedmiotu o kształcie przypominającym szczęki domniemanego potwora. Ekipa nie dysponowała jednak sprzętem potrzebnym do wydobycia obiektu z takiej głębokości.

Kolejny rok nie przynosi żadnych rewelacji. Efekty są zbliżone do ubiegłorocznych. Badacze uzyskują szereg zapisów dźwiękowych, których źródłem są jakieś duże, będące w ruchu obiekty - to wszystko. Lato 1978 roku jest już właściwie fiaskiem.

Ale Rines nie daje jeszcze za wygraną. Na rok 1979, obok rutynowego sprzętu, przygotowuje Nessie nową niespodziankę - "broń biologiczną" w postaci dwu tresowanych, obwieszonych elektroniką delfinów. Zwierzęta są intensywnie szkolone w oceanarium-teatrze morskim w Islamonada na Florydzie. Te inteligentne, niezwykle ciekawskie ssaki mają dotrzeć do znajdujących się w jeziorze grot podwodnych, których nie zdołano dotąd spenetrować. Przypuszcza się, że właśnie tam ma swe kryjówki Nessie, a raczej cała ich rodzina. Parę delfinów wyposażono w ultraczułe sondy akustyczne i kamery reagujące z odległości 4,20 metrów od ruchomego obiektu.

tu podwodnego. Ze względu na słodkowodne warunki Loch Ness, delfiny mogą pracować nie dłużej niż 1-2 godziny dziennie, pozostały czas mają spędzać w specjalnych basenach.

Pomysł użycia delfinów do tropienia Nessie jest właściwie jedynym godnym wzmianki efektem 1979 roku. Jest to pożegnalny pomysł Rinesa.

W roku następnym i w latach osiemdziesiątych goszczą nad Loch Ness różne ekipy - bez rezultatów zasługujących na odnotowanie. Wciąż jeszcze napływają doniesienia od świadków spotkań z Nessie. Składają je przede wszystkim Anglicy, Włosi, Kanadyjczycy, Amerykanie, Francuzi, Japończycy a także Filipińczycy, Egipcjanie, Sudańczycy i Tajowie. Nessie miał również widzieć Kuwejczyk, Monakijczyk, trzyosobowa rodzina z San Marino i dwóch obywateli Andory. W sumie jednak zainteresowanie mieszkańcem Loch Ness wyraźnie słabnie. Po okresie euforii następuje nie pierwszy raz okres zniechęcenia zagadką. W sezonie bez specjalnego kłopotu można wynająć wolny pokój nad jeziorem. Sprawa Nessie znajduje się w impasie.

Tymczasem w Londynie od kilkunastu już lat tamtejszy sprzedawca gazet, Adrian Shine, cały swój wolny czas poświęca na gromadzenie informacji dotyczących szkockich potworów i próbom wyjaśnienia odwiecznej zagadki. Jest bardzo krytyczny wobec poprzedników. Większość relacji uważa za niepoważne, a słynne zdjęcie wykonane przez dr Wilsona w 1934 roku - za falsyfikat. Jego pasja zbiega się w czasie z zaniepokojeniem właścicieli malejącymi obrotami hoteli, pensjonatów i biur podróży w Szkocji. Są gotowi wyasygnować na nową wyprawę ponad milion funtów. Przez dwa lata Shine przygotowuje ekspedycje. W USA kupuje najnowocześniejszy sprzęt do wykrywania podwodnych obiektów, między innymi echosondy sterowane komputerami. Kupuje i wyposaża miniaturową, zdalnie sterowaną łódź podwodną z echosondą, kamerami filmowymi i silnymi reflektorami. Nabywa też 24 szybkie stateczki i instaluje na nich echosondy sprzężone z komputerami.

9 października 1987 roku członkowie ekspedycji - ochrzczonej kryptonimem "Deepscan" - rozpoczynają badania i pracują przez trzy doby bez

wychnienia. W drugim dniu akcji jedna z echosond odebrała z głębokości 60-80 metrów wyraźny sygnał. Chester Fabian, emerytowany ratownik morski z Plymouth, uczestnik wyprawy, tak to opisuje: "Sygnał był bardzo wyraźny, więc na pewno pochodził od czegoś dużego i żywego. Żywego dlatego, że to coś przesuwało się, a potem zaczęło schodzić w dół. Sygnał był coraz słabszy, wreszcie zanikł. Miniaturowa łódź podwodna była wtedy bardzo daleko od tego miejsca i zanim przyplłynęła, to coś ukryło się". Kilkanaście godzin później powtórzono sonarowanie w tym samym miejscu, ale uchwycony wcześniej sygnał nie pojawił się. Świadczyłoby to o tym, że natrafiono jednak na coś, co się porusza. Adrian Shine twierdzi jednak zniechęcony, że nie był to potwór, ale nie wyjaśnia, na czym opiera swój sceptycyzm. Następnego lata 24 stateczki z jaskrawym napisem "Deepscan" na burtach wożą po jeziorze turystów.

Rok 1988 nie wnosi niczego nowego do wyjaśnienia zagadki Loch Ness. Ale sprawa Nessie z pewnością na tym się nie kończy.

...I inne

I inne, bo Nessie wcale nie jest jedynym tajemniczym stworzeniem zamieszkującym jeziora naszej planety. W samej tylko Szkocji jest przynajmniej kilkanaście jezior, znad których - nieraz już od wieków - nadchodzą doniesienia o zauważeniu nieznanych zwierząt. Potwory są w Loch Lochy i w Loch Oich, z którymi Loch Ness łączy się od zachodu przez Kanał Kaledoński i rzekę Garry. Są w pobliskim Champlain - w 1981 opublikowano zdjęcie wykonane w 1977 roku przez panią S. Mansi; autentyczność fotografii potwierdził amerykański ośrodek komputerowej analizy zdjęć (między innymi satelitarnych). Są w Loch Fyne - pierwsza pisana wzmianka pochodzi z 1644 roku, a jej autorem był kierownik miejscowej szkoły. Mają być w Loch Treig - w 1933 roku ekipa nurków nagle zrezyg-

nowała tam z pracy po pierwszym zejściu pod wodę. Także w Cauldshields Loch - z całą powagą donosił o tym w liście do Lady Compton słynny szkocki pisarz Sir Walter Scott. Są w niewielkim Loch Ray i w największym jeziorze Szkocji - Loch Lomond, a także w jeziorze Suainbhal znajdującym się na wyspie Lewis, największej w archipelagu Hebrydów. Najgłębsze jezioro Wielkiej Brytanii, Loch Morar, położone nad samym morzem na północny zachód od Loch Ness, zamieszkuje Morag. Znany już był ze średniowiecznych ballad i sag rycerskich, a widziano go po raz ostatni w 1972 roku. Morag jest najślynniejszym obok Nessie potworem Szkocji.

Irlandia ma swoje monstrum w dużym, położonym w centrum kraju jeziorze Lough Ree - trzech dublińscy zakonnicy złożyli w 1960 roku oficjalny raport w tej sprawie. Szwecja ma go w Stor Sjön, położonym na dalekiej północy zbiorniku o powierzchni 380 kilometrów kwadratowych i głębokości do 100 metrów. Na wyspie pośrodku Stor Sjön znajduje się odwieczny kamień z runicznymi napisami i rysunkiem tajemniczego stwora z długą szyją i płetwami. W ubiegłym stuleciu widziano go przynajmniej 22 razy, a w naszym po raz ostatni w 1955 roku - płynął z szybkością około 40 mil na godzinę, z głową uniesioną wysoko nad wodę.

Bogaty katalog monstr oferują jeziora Kanady. W jeziorze Okanagan zamieszkuje ogromny potwór z końską głową - Naitaki. Pierwotni mieszkańcy tych okolic, Indianie z plemienia Shuswap, od wieków składali mu ofiary z kurcząt i szczeniaków. Ich przodkowie pozostawili wiele wrytych w kamieniu rysunków przedstawiających tajemniczego stwora z długą szyją i płetwami. Biali pionierzy, którym potwór nieraz dawał się we znaki, nazwali go Ogo-pogo. Widziano go wielokrotnie; w 1959 roku świadkiem był między innymi rektor kościoła anglikańskiego w Penticton. Bardzo sceptyczny kapitan statku pasażerskiego, pływający po Okanagan od lat, po 27 sezonach nawigacyjnych nagle zmienił zdanie: "... to już nie jest dla mnie czyjaś relacja. Wierzę, bo widziałem go na własne oczy".

50 kilometrów na północ od Okanagan w jeziorze Shuswap żyje ponoć Tazama, a w niedalekim Cowichan - Tsinquaw. W jeziorze Manitoba, leżącym na pograniczu z USA, egzystuje groźny Manipogo. W 1960 roku

obserwowało go jednocześnie siedemnastu świadków. Dwie ekspedycje zorganizowane przez profesora J.A. MacLeoda z Departamentu Zoologii w Manitoba nie przyniosły rezultatów. Po raz ostatni spostrzeżono Manipogo w sierpniu 1962 roku i sfotografowano go. Do dziś nie ma jednak pewności, czy zdjęcie nie jest falsyfikatem.

W innym rejonie świata, w górach Tybetu, jezioro Szajana zamieszkuje 15-metrowy "wodny szatan" charakteryzujący się wyjątkowo małą głową. Jego dokładny opis sporządzili misjonarze katolicki.

Wiele doniesień o gigantycznym wręcz monstrum · 3-metrowej szerokości minhocao · nadchodziło z brazylijskiej dżungli niemal do końca ubiegłego wieku. Brak relacji w obecnym stuleciu.

W górach Tien-Szan jest długie, głębokie jezioro rynnowe Sary-Chelek. Nieliczni mieszkańcy tych okolic · głównie myśliwi i rybacy · widzieli tam wielokrotnie ogromne, jasnosrebrzyste zwierzę przecinające z wielką szybkością jezioro i nurkujące tuż przy brzegu. We wrześniu 1959 roku jednym z członków ekspedycji naukowej, był między innymi profesor Borys Porszniew, historyk, znany głównie z powodu swych zainteresowań antropologicznych (będzie jeszcze o nim mowa w rozdziale poświęconym yeti). Porszniew wspominał później, że nie przywiązywał żadnej wagi do opowiadań miejscowych o tajemniczym stworze. Któregoś dnia pięciu uczestników wyprawy wybrało się na przejażdżkę motorówką po jeziorze. Z odległości 500 metrów, przy doskonałej widoczności, wszyscy mieli okazję obserwować jakiś jasnosrebrzysty, szybko poruszający się "przedmiot" przypominający kłodę drewna. Obiekt wystawał ponad wodę na około 40 centymetrów, z tyłu ciągnął się ogon długości około 1,5 metra, Ścigane przez naukowców zwierzę dopłynęło niemal do brzegu, zanurkowało i nie pokazało się więcej. Wśród świadków zdarzenia nie było zoologa i żaden z obserwatorów nie próbował klasyfikować zwierzęcia. Porszniew nie wysuwa żadnej hipotezy, przedstawia jedynie fakt: widział wielkie, nieznanne zwierzę, którego gatunku nie potrafi określić.

Na początku lat pięćdziesiątych wieści o nieznanym nauce zwierzętach zaczęły nadchodzić z odległych rejonów Syberii. Większość z nich

pochodziła z Pogórza Jańsko-Ojmiakońskiego rozległej, otoczonej górami wyżyny o surowym klimacie, będącej wówczas niemal białą plamą na mapach. Teren jest jakby żywcem przeniesiony z przeszłości. W okresie trzeciorzędu w wyniku ruchów górotwórczych został wypiętrzony na wysokość około 1000 metrów. Do dziś jest prawie nie zaludniony, a nieliczne osiedla oddalone są od siebie o dziesiątki kilometrów.

W czerwcu 1953 roku nad brzegiem niewielkiego jeziora Worota - 120 kilometrów od najbliższej osady ludzkiej - rozbiła namioty ekspedycja geologiczna kierowana przez W.A. Twierdochlibowa, Twierdochlibow i B. Baszkarow, inny uczestnik wyprawy, udali się na rekonesans wokół jeziora. W sercu dziewiczej tundry, wśród bagnisk porośniętych czerwonym mchem pamiętającym czasy trzeciorzędu, w odległości około 300 metrów od brzegu jeziora zauważyli ze zdumieniem beczkę po benzynie unoszącą się na powierzchni wody. Nagle "beczka" ożyła i ruszyła w ich stronę.

"Dla lepszej obserwacji" - jak pisał później Twierdochlibow - badacze wspięli się pośpiesznie na wysoką skałę. Zwierzę było ogromne, masywne, długości około 10 metrów, z potężną płetwą na grzbiecie. Przednia część tułowia prawdopodobnie głowa miała blisko 2 metry szerokości. W odległości około 100 metrów od brzegu potwór zaczął miotać się i zniknął w fontannach rozbryzgiwanej wody. Mimo prowadzonej obserwacji więcej go nie ujrzano.

Dziesięć lat później inna ekspedycja obozująca nad tym samym jeziorem złożyła podobne doniesienie. Czterech badaczy z odległości około 800 metrów obserwowało potwora, który kilkakrotnie zanurzał się i wynurzał wzbijając kaskady wody.

W latach sześćdziesiątych międzynarodowy rozgłos zyskało największe z jezior płaskowyżu - Łabynty - długie na 15 kilometrów i o głębokości przekraczającej 60 metrów. Tubylcza ludność wierzyła od pokoleń, że jezioro zamieszkuje "diabeł" - potwór z ogromną paszczą, dłuższy od rybackiej łodzi, który porywa nieostrożne renifery i myśliwskie psy aportujące postrzelone kaczki. W 1964 roku nad jeziorem były trzy niezależne ekspedycje - z Tallina, z Kujbyszewa i z Rygi. Pierwsza przebywała nad

Łabynkirem zimą, przez dwa tygodnie. W składzie ekipy byli między innymi pletwonurkowie, którzy -demonstrując niezwykłą, trzeba przyznać, odwagę - poszukiwali zwierzęcia pod lodem, do głębokości 30 metrów. Ekspedycja nie przyniosła pozytywnych wyników. Identyczny rezultat uzyskała druga wyprawa. Trzecia, najmniejsza liczebnie, ograniczyła się do systematycznych obserwacji lustra wody. W drugiej połowie sierpnia dwóm badaczom udało się zaobserwować trzy poruszające się owalne obiekty w odległości około 100 metrów od brzegu. Nie mieli jednak pewności, czy były to trzy zwierzęta płynące jedno za drugim, czy też pojedynczy egzemplarz o spiralnym cielsku.

Jeszcze większą sławę zyskało jezioro Chajyr - niewielkie, głębokie, owalne "oczko" o powierzchni zaledwie 0,3 kilometra kwadratowego, położone daleko na północy, w pobliżu wybrzeży Morza Laptiewów. Cechą charakterystyczną Chajyr jest zupełny brak ryb w jego wodach, mimo istnienia bardzo korzystnych warunków dla rozwoju życia. Tubylcy byli przekonani, że przyczyną tego stanu rzeczy jest potwór zamieszkujący jezioro.

Latem 1964 roku Uniwersytet Moskiewski zorganizował wyprawę, której efektem były dwa raporty o spostrzeżeniu zwierzęcia. Biolog Nikita F. Gładkich, pobierając próbkę wody, nieoczekiwanie zobaczył je z odległości zaledwie kilku metrów, kiedy wdrapywało się na brzeg. Gładkich nie miał przy sobie aparatu fotograficznego i jedynym dowodem spotkania był szeroki pas zdeptanej trawy prowadzący do jeziora. Według relacji biologa, zwierzę miało małą głowę osadzoną na długiej, błyszczącej szyi, ciało o niebieskawoczarnej skórze, pionową płetwę na grzbiecie i masywny ogon. Ponownie ujrano potwora na środku zbiornika w kilka dni później. Gwałtowne ruchy zwierzęcia i bicie ogonem o wodę wytworzyły fale na całej powierzchni jeziora. Świadcami zdarzenia, oprócz szefa ekspedycji, było jeszcze dwóch innych jej uczestników.

Liczną menażerię potworów prezentują jeziora i bagna Afryki. Pogłoski o tajemniczych zwierzętach dochodziły od końca ubiegłego wieku, głównie z obszaru o średnicy około 3500 kilometrów, obejmującego kraje

nad górnym biegiem rzek Kongo, Nilu i Zambezi. Obszar ten nie uległ większym zmianom od 200 milionów lat i do dziś nie został właściwie zbadany.

W 1902 roku Harry Johnson w wielkim dziele o Ugandzie wspomina o tajemniczym zwierzęciu żyjącym w Jeziorze Wiktorii, trzecim co do wielkości na świecie. Sir Clement Hill - jako jedyny biały - widział przelotnie to zwierzę, kiedy próbowało porwać krajowca siedzącego na dziobie łodzi.

Na początku naszego stulecia Karol Hagenbeck - słynny niemiecki handlarz zwierząt, "król ogrodów zoologicznych", odkrywca między innymi karłowatego hipopotama - zorganizował wyprawę, której celem było złowienie jednego z potworów. W swej książce "Tiere und Menchen" Hagenbeck tak o tym pisze: "Kilka lat temu otrzymałem z dwóch całkiem różnych źródeł wiadomość, że w głębinach wielkich bagien Rodezji żyje ogromne, zupełnie nieznanne zwierzę. .../ Krajowcy opowiadali obydwu moim informatorom, że w głębinach wielkich bagien żyje olbrzymi potwór, na poły słoń, na poły smok. .../ Co jest jeszcze bardziej godne uwagi - na ścianach niektórych jaskiń w Afryce środkowej znajdują się rysunki wyobrażające owo dziwne zwierzę. Z tego, co o nim słyszałem, sądzę, że będzie to jakiś rodzaj dinozaura, być może spokrewniony z brontozaurem. Ponieważ relacje pochodzą z tak różnych źródeł i wykazują całkowitą zgodność, doszedłem do wniosku, że gad taki jeszcze istnieje. Toteż nie żałując kosztów wystąpiłem na czele ekspedycji, która miała odszukać potwora. Niestety, uczestnicy jej zmuszeni byli do powrotu nie osiągnąwszy żadnych wyników. W tej części Afryki, gdzie według przypuszczeń zwierzę to żyje, rozciągają się niezmiernie bagna: moi podróżnicy dostali tam ciężkich ataków febry". Hagenbeck zmarł w 1913 roku nie doczekawszy się rozwiązania zagadki.

Informacje o małowidłach skalnych w jaskiniach Buszmenów, o rysunkach przedstawiających jakieś nieznanne zwierzęta podobne do dinozaurów, potwierdził Alfred A. Horn, słynny dziewiętnastowieczny

kupiec i podróżnik. Rysunki sąsiadowały z innymi, współczesnymi im, przedstawiającymi niewolników w kajdanach.

W 1913 roku, gdy Kamerun był kolonią niemiecką, udała się tam niemiecka wyprawa pod wodzą kapitana von Steina zu Lausnitz. We fragmencie sprawozdania, mówiącym o "zwierzęciu, którego bardzo się boją Murzyni" - nazywanym przez nich Mokele-Mbembe - Stein pisze: "Według opowiadania krajowców zwierzę to jest barwy brunatnoszarej, ma gładką skórę, rozmiary słonia lub co najmniej hipopotama. Ma długą, bardzo ruchliwą szyję i jeden tylko, bardzo długi ząb; niektórzy mówią, że jest to róg. Kilku tubylców podkreślało duży, mięsisty ogon, jak u aligatora. Zwierzę napada na łodzie i zabija ludzi, lecz nie zjada ich ciał. Żyje w pieczarach nadbrzeżnych wyłobionych przez wodę, zwłaszcza przy ostrych zakrętach rzek. Jest wyłącznie roślinożerne.

W 1919 roku Amerykański Instytut Smithsona wystąpił ekspedycję na poszukiwanie potwora. Wyprawa została przerwana, kiedy trzech jej uczestników poniosło śmierć w katastrofie kolejowej w Katandze. Instytut wyznaczył wówczas nagrodę w wysokości miliona funtów za wytopienie monstrum. Wyzwanie podjął angielski kapitan Leicester Stewens. 23 grudnia 1919 roku wyruszył on do Afryki uzbrojony w szybkostrzelny karabin, w towarzystwie psa Laddie. "Był wysokim, muskularnym mężczyzną po trzydziestce i robił wrażenie człowieka zupełnie zdrowego na umyśle" donosiła ówczesna prasa. Polowanie nie udało się i Stewens wrócił do Londynu bez trofeum.

W 1932 roku południowoafrykański łowca grubej zwierzyny, F. Grobler, po pięcioletnim pobycie w Afryce środkowej, przekazał redakcji "Rhodesia Herald" informacje o "jaszczurze olbrzymich rozmiarów żyjącym w rozległych bagnach na pograniczu Belgijskiego Konga, Angoli i Północnej Rodezji.

Sporo danych o wielkim gadzie-potworze zebrała w tym samym roku szwajcarska ekspedycja naukowa pracująca w Angoli.

W 1938 roku Leo von Boxberger, po dłuższym pobycie w Afryce, stwierdził, że "wiara w istnienie olbrzymiej bestii wodnej, gada o długiej,

cienkiej szyi, rozpowszechniona jest w Kamerunie południowym, stanowiącym część basenu Konga, na zachód od tych terenów, jak też nad wszystkimi wielkimi rzekami o głębokim nurcie, otoczonymi przez dziewicze lasy”.

W 1955 roku Willy Ley ogłosił w amerykańskim magazynie naukowym artykuł o “smoku z Konga”. Ley nie wyklucza, że jakieś reliktowe zwierzę “dinozaur lub jakiś odmienny typ gada” · mógł przetrwać do naszych czasów.

W 1978 roku poszukiwanie potwora podjęła ekspedycja francuska w okolicach kongijskiego jeziora Tele. Wszyscy uczestnicy wyprawy zginęli bez śladu. Istnieje poważne podejrzenie, że zostali zamordowani przez Pigmejów, którzy do dzisiaj uprawiają kanibalizm.

Jeziorem Tele i jego mieszkańcem od dawna interesował się też znany nam już z poszukiwań Nessie profesor Roy P. Mackal z Uniwersytetu w Chicago. Przez dłuższy czas uczony zbierał opisy zwierzęcia pochodzące od Pigmejów, którzy podobno zabili nawet jeden egzemplarz potwora przed kilku laty. Stwór miał być większy od słonia, o szarobieżowej skórze. Mackal odbył jedną podróż do Konga, aby przedstawić Pigmejom rysunki różnych zwierząt, w tym również dawno wymarłych. Zdaniem Pigmejów potwór żyjący w jeziorze Tele najbardziej przypomina brontozaura. W 1981 roku Mackal z dwoma towarzyszami podjął wyprawę, której celem było dokonanie wiarygodnych zdjęć zwierzęcia. Ekspedycja skończyła się niepowodzeniem.

Brak nowszych doniesień nie powinien dziwić. Zorganizowanie wielkiej, interdyscyplinarnej wyprawy naukowej do środka Afryki · podobnie jak i w głąb północno-wschodniej Syberii · jest przedsięwzięciem znacznie trudniejszym, niż przeprowadzenie ekspedycji nad opasane autostradą Loch Ness. Podjęcie nowych, systematycznych badań na tych terenach jest kwestią czasu, i można chyba zakładać, że jeśli jakieś reliktowe zwierzęta przetrwały do naszych czasów, któregoś dnia zagadka zostanie rozwiązana.

POTWORY GŁĘBIN

Tendencje do wymyślania niesamowitych zwierząt człowiek miał zawsze, a w każdym razie od momentu, odkąd mózg ludzki był w stanie temu zadaniu sprostać. Stare bestiariusze roją się od przedziwnych zwierząt smoków, gryfów, jednorożców... Żywiół morski obcy człowiekowi, ogromny i zawsze groźny - szczególnie pobudzał ludzką wyobraźnię. W morzu mogło zmieścić się wszystko, co człowiek zdołał wymyślić. "Wąż morski" jest hasłem, pod którym kryje się wiele potworów o najrozmaitszych właściwościach i kształtach. Czy jednak wszystkie są tylko owocem ludzkiej fantazji?

Przez piętnaście lat belgijski zoolog i popularyzator nauki, Bernard Heuvelmans poszukiwał w bibliotekach i archiwach świata materiałów do swej książki "Dens les sillages des monstres marins. Le grand serpent" - "Na tropie potworów morskich. Wąż morski". Książka liczy około 750 stron druku i została wydana we Francji w 1965 roku. Heuvelmans zebrał 550 relacji i świadectw ludzi, którzy mieli zetknąć się z potworami. 326 relacji Belg uznał za wiarygodne.

Dla uporządkowania bogatego i różnorodnego materiału Heuvelmans wprowadził czysto umowny podział "węży" na pięć gatunków, w zależności od wielkości i kształtu zwierzęcia. Można by ten podział uprościć jeszcze bardziej: na zwierzęta, których istnienie, mimo wielu relacji, nauka ciągle uważa za hipotetyczne z braku niepodważalnych dowodów ich istnienia, oraz te, w których egzystencję nie można już wątpić, a więc wielkie głowonogi dochodzące do olbrzymich rozmiarów i bez wątpienia atakujące statki i znajdujących się na nich ludzi.

Informacje o istnieniu fantastycznych zwierząt morskich znaleźć można już u starożytnych, między innymi u Homera, Arystotelesa i Pliniusza, wspominają o monstrach pisarze arabscy - El Kazwini i El Masudi, podobne wieści przechowała też tradycja żydowska.

Wiele fantastycznych doniesień o potworach znajdujemy u pisarzy XVI-XVIII wieku. Wszystkie charakteryzują się tym, że opisy zwierząt ubar-

wione są tyłoma baśniowymi szczegółami, iż trudno spośród nich wyłuskać racjonalne jądro. Ciekawy jest jednak fakt, że ówczesne tajemnicze stwory, często określane jako "węże", przedstawiane są jako zwierzęta poruszające się w wodzie pionowymi ruchami ciała, a więc w sposób odmienny niż "normalne" węże, które wykonują skrety ciała w poziomie. Do węży więc opisywane potwory z pewnością nie należały.

W pierwszych latach XVI stulecia, w czasach panowania w Hiszpanii Karola V, kronikarz jednego z konwojów morskich wiozących wojsko, konie i zaopatrzenie dla osadników hiszpańskich w niedawno odkrytej Ameryce, opisuje z wielką dbałością o szczegóły dramatyczne spotkanie z nieprawdopodobnym stworzeniem długości mili, który zaatakował żaglowce od wielu dni unieruchomione morską ciszą gdzieś pośrodku bezmiarów oceanu. Podejrzewano, że potwora zwabiły trupy wyrzucanych za burtę koni, które padały z pragnienia. Stwór miał mieć łeb "większy od chłopskiej zagrody w Sierra Nevada", wielkie płetwy, tułów pokryty zieloną łuską i niesłychanej wielkości skrzydła.

W pół wieku później, za panowania króla Filipa II, Hiszpanie mieli ponoć okazję zobaczyć skrzydlatego potwora u atlantyckich wybrzeży swego kraju. Królewski okręt wojenny podjął z nim walkę, a kula armatnia strzaskała jedno ze smoczyczych skrzydeł. Potwór próbował uciekać w stronę Cieśniny Gibraltarskiej, ale koło Walencji wykrwawił się i zdecht. Fale wyrzuciły martwe cielsko na brzeg.

"Paszczę miał tak ogromną, że siedmiu ludzi mogło w niej stać i było jeszcze w niej dość miejsca na jeźdźca na koniu" - jak pisze kronikarz. Dolną szczękę potwora miano przewieźć do Eskuriału, aby zdobyła rezydencję królewską.

Również z XVI wieku pochodzi katalog nieprawdopodobnych monstr morskich, który zawdzięczamy arcybiskupowi Uppsali, Olofowi Sorrowi, a właściwie Olofowi Magnusowi - taki bowiem przybrał pseudonim, kiedy w 1526 roku zmuszony był opuścić protestancką Szwecję i osiąść w Rzymie. W opublikowanych tam "Dziejach plemion północnych" Magnus pisze nie tylko o ludziach; wiele miejsca poświęcił też zwierzętom północy,

zwłaszcza nieprawdopodobnej wielkości krakenom i innym fantastycznym potworom głębin.

W 1604 roku Konrad Gesner wydał w Heidelbergu uczone dzieło "Historia zwierząt", w którym znajduje się między innymi opis i rysunek dziwnego stwora o dziczym łbie i żabich łapach, posiadającego po kilka oczu na każdym boku. W 1615 roku podobny potwór - świński łeb na końskim tułowiu - miał się ponoć pojawić w ujściu Łaby koło Hamburga, a w ćwierć wieku później w tym samym miejscu grasował rogaty stwór o właściwościach elektrycznych - rybak, który rzucił węć harpunem, zginął od iskry, która przeskoczyła po linie łączącej narzędzie z ręką łowcy.

XIX stulecie przynosi szereg doniesień, które w odróżnieniu od wcześniejszych, cechują się już zdecydowanie większym realizmem.

Realistyczna wydaje się być relacja właściciela statku "Daedalus", kapitana M'Quahe'a, który miał widzieć olbrzymiego węża morskiego w 1848 roku. Przez 20 minut zwierzę płynęło obok statku po powierzchni i M'Quahe mógł mu się dobrze przyjrzeć. Stwór był koloru brązowego, z podgardlem żółto-białym, nie miał płetw, a głowa przyozdobiona była grzywą (włosy są domeną ssaków) przypominającą pęk wodorostów, ciągnącą się po wodzie w ślad za ruchami zwierzęcia. W nurzonej części ciała kapitan ocenił na co najmniej 18 metrów długości.

W 1881 roku spotkanie z podobnym potworem przeżyła załoga szkockiego kutra "Bertie" 90 mil od wschodnich wybrzeży Szetlandów, Przygoda była znacznie bardziej dramatyczna. Kuter stał na łowisku z zastawionymi sieciami, kiedy sześciuosobowa załoga spostrzegła w odległości kilkuset metrów wielkie zwierzę płynące prosto na łódź. Rybacy początkowo sądzili, że mają do czynienia z wielorybem, wkrótce jednak spostrzegli swoją pomyłkę: zwierzę było im zupełnie nieznane, a jego groźny wygląd i fakt, że nie zmieniało kursu, wpędził rybaków w panikę. Dwie kule karabinowe, które mu postali, zesliznęły się po grzbiecie zwierzęcia, a rzucanie w wodę kamieni balastowych przyniosło skutek odwrotny od zamierzonego - potwór, nurkując, omal nie wywrócił łodzi. Przestraszeni rybacy odcięli sieci i pośpiesznie włączyli silniki. Zwierzę płynęło jeszcze

przez parę minut równoległe do kursu kutra. Rybacy wyraźnie widzieli grzywę podobną do wiązki wodorostów, która ciągnęła się po wodzie za łbem zwierzęcia.

Kilkunastometrowego potwora morskiego obserwowano w marcu 1856 roku trzech angielskich rybaków i pasażer kutra u wschodnich wybrzeży Anglii. Stwór zbliżył się do statku na odległość pół mili. Rybacy, którzy przyglądali mu się przez około 40 minut, byli pewni, że stworzenie jest wężem, widzieli bowiem wyraźnie poziome falowanie ciała.

Dwa nieznanne stworzenia morskie zaobserwowało czterech oficerów brytyjskiego jachtu "Osborne" u wybrzeży Sycylii. H.L. Person, dowódca jednostki, przesłał dokładny raport z tego spotkania brytyjskiej Admiralicji.

Chyba najciekawsza, a zarazem najlepiej udokumentowana dziewiętnastowieczna relacja pochodzi z pierwszych lat stulecia i związana jest z amerykańskim portem Gloucester. W sierpniu 1817 roku kapitan jednego ze statków handlowych wywołał spore rozbawienie celników, kiedy w czasie odprawy oświadczył, że niedaleko portu widział 20-metrowego węża morskiego. Jednak w ciągu kilkunastu następných dni obserwowano go jednocześnie ponad 200 osób. Władze, aby usmierzyć wzburzenie mieszkańców miasta, powołały specjalną komisję, która zajęła się zebraniem zaprzysiężonych zeznań najbardziej wiarygodnych świadków (okazało się przy okazji, że już w 1815 roku widział węża kapitan Elkanah Firmey), które pozwoliły precyzyjnie odtworzyć trasę, jaką zwierzę przebyło w ciągu kolejnych 13 dni.

Dokładnie w dwa lata później - w sierpniu 1819 roku - historia powtórzyła się. Tym razem napotkała potwora łódź patrolowa US Navy. Długość potwora marynarze oceniali na 33 metry.

Wiek XX - bogaty w sensacyjne doniesienia dotyczące morskiego potwora - otwierała Szkoci kolejną relacją z okolic Szeotlandów. W maju 1903 roku załoga kutra "Adelong" natknęła się na 9-metrowego stwora, który zbliżył się do łodzi i zanurkował przy samej burcie zrywając zastawione sieci. Potwór miał róg na głowie i gładkie ciało pokryte "czymś w rodzaju śluzu".

W 1905 roku widziała stwora załoga angielskiego jachtu parowego "Valhalla", w skład której wchodziłi dwaj biolodzy, członkowie Londyńskiego Towarzystwa Zoologicznego. Sprawozdanie napisane przez jednego z nich, Michaela J. Niccola, przynosi szczegóły spotkania. Zwierzę spostrzeżono w odległości około 100 metrów od jednostki. Początkowo widoczna była tylko brązowo-czarna płetwa grzbietowa długości około 1,2 metra, wystająca z wody na 60 centymetrów. Później ukazała się szyja "o węgorzowym zarysie", długa na około 1,8 metra, grubości męskiego uda, zwieńczona głową podobną do głowy żółwia. Głowa i szyja miały również brązowo-czarną barwę. Zwierzę widziano jeszcze dwukrotnie tego samego dnia, a także w nocy. Biolodzy byli przekonani, że nie należało ono do gadów, było prawdopodobnie ssakiem.

Z okresu I wojny światowej pochodzi bardzo ciekawa i doskonale udokumentowana relacja kapitana angielskiego statku handlowego "Hillary", F.W. Deana. W drugiej połowie maja 1917 roku statek znajdował się w okolicach Islandii. Był uzbrojony w działa i w bomby głębinowe dla obrony przed "U-bootami". Kiedy dostrzeżono potwora, wzięto go początkowo za niemiecką łódź podwodną i kapitan ogłosił alarm bojowy do ataku bombowego. Wkrótce jednak zrozumiano pomyłkę i statek zbliżył się do potwora.

Z relacji kapitana Deana i oficera wachtowego, porucznika F.C. Harrisa, wynika, że głowa zwierzęcia przypominała głowę krowy ("bez dodatków" - a więc bez uszu i rogów), szyja miała około 6 metrów długości, a całe ciało szacowano na 18 metrów. Na grzbiecie stwora znajdowała się czarna, trójkątna płetwa, wyraźnie cienka i wiotka, o wysokości około 1,2 metra. Dean wydał rozkaz: odsunął statek na 1200 metrów i ostrzelał zwierzę ogniem działowym - "dla zapewnienia praktycznego treningu obsłudze".

Dwa pierwsze strzały chybiły, a zwierzę wcale nie wyglądało na przestraszone. Trafione trzecim, miotając się, zniknęło pod wodą w ciągu paru sekund. Porucznik Harris, który protestował przeciwko tej "bojowej" akcji, natychmiast po zdaniu wachty spakował swoje rzeczy, pewien, że statek nie wróci do portu. Dwa czy trzy dni później, 25 maja, "Hillary"

poszedł na dno Atlantyku ugodzony torpedami "U-boota". Przed opuszczeniem statku Anglicy zniszczyli dziennik pokładowy, ale w ich późniejszą relację trudno wątpić.

Równie tragicznie dla węża - choć tym razem bez złej woli ludzi zakończyło się jego spotkanie z amerykańskim statkiem pasażerskim "Santa Clara". 30 grudnia 1947 roku, w środku dnia, przy słonecznej pogodzie, dostrzeżono zwierzę unoszące się na falach parę metrów od burty. Miotło się w agonii obficie krwawiąc - dziób statku niemal je przepołowił. Ta część ciała, która wystawała nad wodę, miała co najmniej 10 metrów długości, z czego około 1,5 metra przypadało na głowę, której szerokość oceniano na 75 centymetrów. Ciało było obłe, o przekroju około 60 centymetrów, barwy ciemnobrązowej.

W drugiej połowie XX wieku ilość doniesień o spotkaniu potwora nie maleje. Większość relacji - jak zawsze - pochodzi od ludzi morza: marynarzy, rybaków, wielorybników. Nie ulega wątpliwości, że opisy dotyczą co najmniej kilku wielkich zwierząt, należących do zupełnie różnych gatunków. Można sobie wyobrazić, z jakimi trudnościami spotkałby się naukowiec, który pokusiłby się o wyjaśnienie zagadki. Niemal każde opisane zwierzę ma inną wielkość, kolor, kształt, i właściwie nie sposób znaleźć dwóch identycznych egzemplarzy.

Na początku lat pięćdziesiątych statek-baza przemysłowej floty radzieckiej "Sowietskaja Rosija" wracając z połowów na wieloryby dwukrotnie napotkał na otwartym morzu "wodne smoki" długości 15 metrów. Specjalnie wysłany helikopter przez pewien czas śledził nieznane stwory - były podobne do ogromnych, bardzo zwinnych węży.

Radziecki zoolog, dr S.K. Kłumow, który w latach 1951-1956 pływał na statkach wielorybnych prowadząc prace badawcze nad dalekowschodnimi waleniami, zebrał przy okazji ciekawe informacje dotyczące jakiegoś nieznanego zwierzęcia, które wielorybnicy obserwowali niemal każdego roku, z reguły w pierwszej połowie lipca w okolicach Wysp Komandorskich, zawsze w tym samym rejonie. Mimo usiłowań harpunnikom nigdy nie udało się zbliżyć na odległość strzału. Pewni byli, że zwierzę nie

jest wielorybem, te bowiem znają dobrze. Nie wytwarzało charakterystycznej fontanny i nie wyskakiwało z wody. Pływało podobnie jak rekin pokazując tylko górną część grzbietu - był on szeroki, gładki, czarnego koloru i bez pletw.

Warto podkreślić, że Kłumow natknął się na te informacje właściwie przypadkiem i tylko dlatego, że przez dłuższy czas przebywał na statkach łowczych. Wielorybnicy uważali obecność i istnienie wielkiego nieznanego stwora w okolicach Komandorów za rzecz zupełnie oczywistą i nie widzieli potrzeby zawiadamiania o tym kogokolwiek.

Kiedy po II wojnie światowej zaczęto we flocie rybackiej wprowadzać różnego rodzaju sonary, obserwacje naocznych świadków zostały uzupełnione przez zapisy aparatów. Z grudnia 1954 roku pochodzi doniesienie załogi angielskiego trawlera "The Rival", który zanotował i określił położenie "zywego, nie znanego bliżej stworzenia" o znacznej długości, znajdującego się na głębokości ponad 150 metrów. Analogiczne obiekty ujawnił sondaż radarowy statku "Kamilla" stanowiącego pływającą bazę naukową. Zdumiewająca była szybkość, z jaką zaobserwowane obiekty poruszały się pod wodą - około 120 kilometrów na godzinę.

Rewelacyjną informację przekazano w 1975 roku z pokładu polskiego statku rybackiego "Kabryl", który poławiał sardinopsy u pustynnych wybrzeży Namibii (południowo-zachodnia Afryka). Oto fragment suchej notatki jednego z oficerów: "26 sierpnia 1975 roku około godziny 17,40 czasu środkowoeuropejskiego statek był w odległości 23 mil morskich od lądu na wysokości ujścia rzeki Cunene River poszukując ławic ryb. W pewnym momencie na sonarze - odpowiedniku asdiku w marynarce wojennej - dostrzeżono echo na dnie oceanu. Statek zmniejszył szybkość do 3 węzłów. Wówczas na papierze ichtiografu pionowego zaczął wyłaniać się zarys potwora przypominający kształtem węża morskiego - 370 metrów długości, wysokości około 15 metrów, głowa wzniesiona na około 25 metrów. Głębokość w tym miejscu oceanu - 193 metry. Dno skaliste z rafami koralowymi. Było to na stoku kontynentalnym w pobliżu głębokości rzędu kilku tysięcy metrów". W czasie rejestrowania echogramu obecnych było

pięciu oficerów, w tym dowódca statku z 25-letnim stażem kapitańskim we flocie rybackiej.

Notatka ukazała się w "Głosie Szczecińskim", być może spoczęła gdzieś w archiwach Morskiego Instytutu Rybackiego - i na tym się skończyło.

W dwa lata później całą prasę światową obiegła sensacyjna wiadomość, której autorami byli znowu rybacy. Latem w 1977 roku japoński trawler "Tsujo-Maru", łowiąc w przybrzeżnych wodach Nowej Zelandii na głębokości około 300 metrów, wyłowił zwłoki nieznanego potwora morskiego w stanie daleko posuniętego rozkładu. Zwierzę do złudzenia przypominało plezjozaura, mezozoicznego gada wymarłego przed 70 milionami lat. Miało małą głowę na długiej szyi, pękaty tułów z czterema płetwami i masywny ogon. Długość ciała wynosiła 13 metrów, waga około 2 ton. Zdaniem rybaków zwierzę nie miało zapachu zepsutej ryby, cuchnęło jak zgniłe mięso. Po dokonaniu pomiarów, zważeniu, wykonaniu rysunków i zdjęć fotograficznych, oraz po obcięciu fragmentu jednej z płetw - zwłoki wyrzucono za burtę. Japończycy orientowali się w naukowej wartości znaleziska, mieli jednak pełne chłódnie ryb, a w tropikalnym klimacie inny sposób transportu zwierzęcia nie wchodził w rachubę. Przeważała opinia lekarza okrętowego, który w przypadku pozostawienia padliny na pokładzie zrzekał się odpowiedzialności za zdrowie załogi.

Na podstawie analizy zdjęć profesor Vishinori Imaizumi z Narodowego Muzeum Wiedzy w Tokio uznał znalezisko za jedno z najważniejszych odkryć naukowych stulecia. Zdecydowana większość uczonych była znacznie ostrożniejsza - dość zgodnie przyjęto, że znalezione szczątki należały do średniej wielkości wieloryba. Tymczasem w parę miesięcy później amerykańskie popularnonaukowe pismo oceanograficzne "Oceans" opublikowało wyniki badań przeprowadzonych przez biochemika dr S. Kimurę z Wyższej Szkoły Rybołówstwa Przemysłowego w Tokio. Kimura dokonał analizy białka fragmentu płetwy zwierzęcia za pomocą udoskonalonej metody chromatografii. Stwierdził on, że zidentyfikowane przez niego białko typu elastoidinae charakterystyczne jest dla rekinów i płaszczyk, nigdy natomiast nie spotyka się go u ssaków. Podobne białka

znane są również i wśród gadów. Wykluczyło to hipotezę, że zwierzę było wielorybem lub gigantyczną foką. Mogło więc być albo rekinem, albo gadem nieznanego nauce rodzaju. Zdaniem radzieckiego miesięcznika popularnonaukowego "Nauka i Życie" ten drugi wariant wydaje się być bardziej prawdopodobny - kręgosłup "potwora" był zbyt długi, a głowa zdecydowanie zbyt mała jak na rekina. Poza tym - drobiazg - japońscy rybacy prawdopodobnie potrafiliby zidentyfikować rekina. Sprawa pozostała w kręgu hipotez.

W rok po Japończykach nową zagadkę podrzucili uczonym wielorybnicy radziecy. Tym razem chodziło o mniejsze zwierzęta - 5-6 metrów długości - do złudzenia przypominające ichtiozaury, mezozoiczne gady kopalne, które od środkowego triasu do końca okresu kredowego zasiedlały prawie cały wszechświatowy ocean. Radziecy wielorybnicy widywali je na Pacyfiku, a także na Oceanie Indyjskim. Zwierzęta żyły w grupach po 6-7 sztuk, wśród dorosłych były także młode osobniki. Rosjanie nazywali je "długonosami". Wielorybnicy przestali relacje o zaobserwowanych stworach redakcji jednego z pism popularnonaukowych. Uczeni w takich przypadkach są jak zwykle bezradni - "nie jest wykluczone, że w oceanie żyją nieznanne zwierzęta..."

Na zakończenie jeszcze dwie relacje wcześniejsze, tym razem nie pochodzące od rybaków. Pierwszą podał Tim Dinsdale - ekspert Nessie - w swej książce "The Leviathans". W marcu 1962 roku pięciu australijskich pletwonurków postanowiło spenetrować wrak zatopionego na niewielkiej głębokości statku. Wystające z wody maszty jednostki widoczne były z łądu i pletwonurkowie postanowili dotrzeć tam na tratwie ratowniczej. Nagły sztorm wyniósł tratwę na pełne morze, a kiedy uciekł, nad wodą zaległa gęsta mgła. E.E. McCleary, jedyny, który przeżył tę mrozącą krew w żyłach przygodę, opowiadał później, że mniej więcej po godzinie usłyszeli pluski, poczuli ostre zaduch psującej się ryby, a potem zobaczyli wyłaniającą się z mgły szyję i głowę potwora, który płynął prosto na tratwę. Głowa przypominała kształtem żarówkę (w odpowiednio powiększonej skali), a szyja podobna była do szyi żółwia, koloru brązowo-zielonego,

długości około 3,6 metra - wyglądała jak ogromny słup sterczący pionowo z wody. Ogarnięci paniką nurkowie wskoczyli do morza i rozproszyli się, szybko tracąc się z oczu. McCleary słyszał rozpaczliwe krzyki swych przyjaciół, a potem z bliskiej odległości widział, jak ginął ostatni z nich. Sam dotarł jakoś do masztów zatopionego statku i przesiedział tam prawie całą noc. Rano dopłynął do lądu.

Ta krwawa historia przypomina średniowieczne i nieco późniejsze relacje żeglarzy karawel i galeonów, faktem jest jednak, że spośród pięciu nurków, którzy wybrali się na eksplorację wraku, do rana przeżył jeden.

Druga relacja pochodzi z przybrzeżnych wód Australii, a jej autorem jest francuski podróżnik i fotografik, Robert Le Serrec. 12 grudnia 1964 roku z żoną, trojgiem dzieci i australijskim nurkiem Henkiem de Jongiem wypłynęli motorówką kilkaset metrów od brzegu nad Wielką Rafę Koralową w pobliżu Hook Island. W pewnej chwili dostrzegli pod powierzchnią wody wielki, ciemny przedmiot, który wzięli początkowo za pień drzewa. Dopiero kiedy dopłynęli na kilkanaście metrów, rozpoznali ogromny łeb i długie cielsko nieruchomego zwierzęcia. Le Serrec odwiózł dzieci na ląd, a sam z żoną i de Jongiem wrócili nad rafę. Obaj zeszli pod wodę. Potwór nie zmienił miejsca, a wielka biała plama na jego grzbiecie, przypominająca otwartą ranę, pozwalała przypuszczać, że jest martwy. Nurkowie ostrożnie opłynęli leżące na piasku ciało - miało 21 metrów długości, skóra była podobna do skóry rekina, koloru czarnego, z brązowymi, 30-centymetrowej szerokości pasami powtarzającymi się co 1,5 metra. Najbardziej fascynująca była wielka, rozwarta paszcza pełna drobnych zębów; jej wnętrze było koloru białego.

Le Serrec zbliżył się na 6 metrów do potwora i włączył kamerę - głowa zwierzęcia zaczęła powoli obracać się w jego stronę. Potwór kilkakrotnie zamknął i otworzył paszczę, ciało uniosło się z piasku. Le Serrec i de Jong zdążyli dopłynąć do motorówki, która natychmiast zastartowała. Zwierzę było na powierzchni, tuż za ich plecami.

Tyle relacja. Le Serrec wykonał zdjęcia fotograficzne jeszcze przed zejściem pod wodę. Najstynniejsze z nich wielokrotnie publikowane,

przedstawia leżący pod powierzchnią wody kształt, przypominający w zarysie mocno wydłużoną sylwetkę sumy - duża, szeroka głowa i silnie zwięzające się ku ogonowi ciało. Czyżby więc potwór znad Wielkiej Rafy Koralowej był ogromną, nieznaną rybą?

Hipotez próbujących wyjaśnić fenomen wielkich zwierząt morskich jest sporo, choć zagadka sprowadza się w zasadzie do trzech możliwości: gad, ssak czy ryba? Ta ostatnia teoria zyskała zwolenników zwłaszcza po 1959 roku, kiedy to belgijski uczyony dr A. Bruun opisał wylowioną u wybrzeży Afryki 2-metrową larwę węgorza. "Normalne" larwy nie przekraczają z reguły 7 centymetrów długości. Z gigantycznej larwy powinien przynajmniej teoretycznie wyrosnąć węgorz długości 20 lub nawet więcej metrów. Zwierzę, z którym "zderzył się" amerykański statek "Santa Clara", przypominało właśnie gigantycznego węgorza.

Obserwowana czasem na głowie zwierzęcia "grzywa" wskazuje z kolei jednoznacznie ssaka, bowiem tylko one posiadają pokrywę włosową.

A może gad? Któryś - lub któreś - z licznej, wielogatunkowej grupy pleziozaurów? Wielu uczonych nie wyklucza wszak, że część morskich gadów mezozoicznych mogła przystosować się do życia na większych głębokościach i przetrwała do naszych czasów.

Wydawało się, że ta ostatnia teoria znajdzie wreszcie definitywne potwierdzenie w 1969 roku, kiedy to całą prasę światową obiegła wieść, że na brzegu Zatoki Meksykańskiej fale Atlantyku wyrzuciły ciało nieznanego nauce olbrzymiego zwierzęcia. Ciało znaleźli mieszkańcy pobliskiej wioski rybackiej Ecoluta leżącej 160 kilometrów na północ od Veracruz. Na głowie zwierzęcia znajdował się 3-metrowy róg z porowatej kości, z opancerzonego płytami cielska wyrastały liczne narośla i potężne kolce.

Ciało znajdowało się w stanie doskonałej świeżości, toteż rybacy natychmiast odrąbali płetwy, które nadawały się do spożycia. Potem do leżących częściowo w wodzie zwłok dobrały się rekiny, które zbiegły się całymi stadami. Sprowadzony na plażę dźwig okazał się o wiele za słaby, aby poradzić sobie z ciężarem. Dopiero następnego dnia sprowadzono dźwig pływający, który odholował resztki zwierzęcia do portu Cantico.

Wypowiadający się ostrożnie uczeni podzielili się na dwa obozy. Jedni uważali, że zwierzę mogło być autochtonem żyjącym w skalistych grotach w pobliżu dna Zatoki Meksykańskiej, która opada w tych okolicach na 2800-3000 metrów, a śmierć monstrum wiązali z aktualnie prowadzonymi w zatoce poszukiwaniami ropy naftowej przy użyciu ładunków wybuchowych.

Zdaniem innych uczonych - między innymi dr Gili, biologa z uniwersytetu w Veracruz - zwierzę prawdopodobnie zginęło przed kilkudziesięcioma milionami lat, przeleżało w lodowcu na biegunie południowym, a potem dotarło do Zatoki Meksykańskiej wmarznięte w górę lodową, która właśnie tutaj zakończyła swój żywot. Problem ostatecznie nie został rozstrzygnięty.

Nie brak też zwolenników teorii głoszącej, że "wąż morski" jest po prostu... wężem. Wprawdzie "klasyczne" węże morskie nie przekraczają 3 metrów długości, ale zwolennicy tej teorii przypominają, że nauka do dziś nie wie właściwie, jaką długość osiągają największe węże śródłądowe, na przykład anakonda. Oficjalnie przyjmuje się, że dorastają one do 11 metrów długości, znane są jednak wcale liczne relacje mówiące o upolowaniu bądź zaobserwowaniu egzemplarzy nieporównanie większych.

Percy Harrison Fawcett, angielski oficer artylerii, który nie cierpiał armii i w związku z tym wiele lat spędził w amazońskiej dżungli pracując przy wytyczaniu granicy między Brazylią, Boliwią i Peru, opisuje w swoim pamiętniku, jak ustrzelił 20-metrową anakondę, a słyszał od Indian i białych osadników o znacznie większych okazach. Pamiętnik Fawcetta, który był człowiekiem szlachetnym i do gruntu uczciwym, nie zawiera cienia przesady czy nierzetelności w opisach nadamazońskiej przyrody, i nie widać doprawdy powodu, dla którego Anglik w tym jednym przypadku miałby skłamać. W dokumentach firmy Lorenza Hagenbecka ze słynnej niemieckiej "dynastii" handlarzy zwierząt znajduje się szereg informacji o istnieniu w Amazonii wodnego węża znacznie większego od najdłuższej anakondy. Informatorami Hagenbecka byli głównie zaprzyjaźnieni z nim misjonarze niemieccy pracujący wśród Indian w interiorze.

Skoro prawdopodobne jest istnienie tak wielkich okazów na śródlądziu, to równie dobrze mogą one egzystować w morzach - mówią zwolennicy teorii, że "wąż morski" jest wężem. Wiele opisów napotkanego potwora wskazuje wszak na jego wyraźne węzowy rodzaj.

Gad, ssak czy ryba? Pewne jest, że ewentualne udowodnienie trafności jednej z hipotez nie wykluczy prawdopodobieństwa pozostałych - opisywane stwory prezentują przecież ogromne bogactwo cech i kształtów.

Jak dotąd, potwierdziło się jedno - że "potworami" bywają kalmary, w dawnych relacjach nazywane najczęściej krakenami. Doniesienia o krakenach są równie stare jak wieści o innych monstrach. Aż do drugiej połowy XIX stulecia krakeny były równie mitycznymi zwierzętami jak inne potwory morskie, a w opowieściach o nich jest tyle samo baśniowości, co w opisach innych monstr - być może nawet więcej. Jeszcze w wydanej w 1753 roku "Historii naturalnej Norwegii", autorstwa kanclerza Uniwersytetu w Bergen, biskupa Pontoppdana, znajdujemy opis krakena, którego ramiona sięgały masztów średniego statku. Potwory miały osiągać takie rozmiary, że potrafiły zatapiać największe okręty wojenne, a pułk żołnierzy mógł odbywać ćwiczenia na jego grzbiecie.

W 30 lat później dr Svedarius opublikował w prasie informacje o znalezieniu przez pewnego wielorybnika 8-metrowego ramienia kalmara w gardle upolowanego wieloryba. Inny badacz, Denis de Montfort, mógł wkrótce uzupełnić tę wiadomość - odszukał on dwóch wielorybników, którzy w paszczach kaszalotów znaleźli ramiona dwukrotnie dłuższe. Okazało się też, że w żołądkach ćwiartowanych wielorybów znaleźć można nierzadko szczątki, a nawet całe ciała potężnych głowonogów.

We wrześniu 1861 roku mały okręt patrolowy marynarki francuskiej "Alekton" natknął się w okolicach Wysp Kanaryjskich, 100 mil na północny wschód od Tenerify, na olbrzymiego kalmara, którego korpus, bez ramion, miał blisko 6 metrów długości. Do potwora oddano kilka strzałów, a potem przywołano go do burty i próbowano wciągnąć na okręt. Ciało urwało się z petli pozostawiając na pokładzie jedynie fragment płetwy, a ostrożny kapitan nie pozwolił załodze kontynuować łowów z szalupy.

Wydarzenie to jednak sprawiło, że część uczonych uwierzyła wreszcie w istnienie zwierzęcia.

Jednak prawdziwy przełom przyniosły dopiero lata siedemdziesiąte XIX stulecia. Wspólne dotąd losy krakena i innych morskich monstr rozdzieliły się - kraken "wybił się" - stał się bardziej realny. W 1873 roku trzech rybacy z Nowej Funlandii wylowili, po walce na śmierć i życie, dwa ramiona olbrzymiego głowonoga - tyle tylko udało się przewieźć w łodzi. Jedno ramię po powrocie rzucono psom na pożarcie, część drugiego, 6-metrowej długości, dostała się w ręce księdza R. Harvaya, który od paru lat gromadził relacje o wielkich głowonogach. W następnym roku dwaj rybacy z St. Johns zetknęli się z krakenem w równie dramatycznych okolicznościach - zostali zaatakowani przez kilkumetrowe zwierzę, które opłotko burty ich łodzi dwiema dłuższymi mackami. Potwór wycofał się, kiedy jeden z rybaków odrąbał je toporem. W tym samym czasie na plażach Nowej Funlandii i u północnych wybrzeży Atlantyku zaczęto dość często znajdować kalmary na plażach. U kresu sił, wyrzucane przez fale, ginęły masowo na piasku. Nie znano przyczyny tych masowych zgonów; uczeni podejrzewali epidemie. Stwierdzono, że żołądki zwierząt były puste. Największy ze znalezionych okazów, wyrzucony na brzeg w Thimble Tickle Bay na Nowej Funlandii 2 listopada 1878 roku, miał długość ponad 16,5 metra, ważył około 2 ton, a średnica oka wynosiła 27 centymetrów.

Wiek XX przyniósł wiele nowych danych na temat olbrzymich głowonogów, głównie za sprawą wielorybników. Do dziś jednak nie wiadomo, jakie rozmiary mogą one osiągać. Łowcy wielorybów oglądali nierzadko na skórze i płetwach upolowanych kaszalotów wielokrotne poważne rany po przyssawkach, albo okrągłe blizny, czasem też głębokie, węzowate wgłębienia - ślady walk, jakie toczą między sobą kaszaloty i kalmary. Okrągłe rany i blizny miały czasem średnicę przekraczającą 20 centymetrów, a największe dochodziły do 46 centymetrów. Stwierdzono, że średnica ssawek 20-metrowego kalmara wynosi około 10-15 centymetrów. We wnętrznościach jednego z upolowanych wielorybów znaleziono kiedyś oko kalmara o średnicy 40 centymetrów. Wnioskując z tych danych

współczesny nam uczyony dr H. Berril jest zdania, że napotkanie 45-metrowego kalmaru, ważącego nawet kilkadziesiąt ton, jest tylko kwestią czasu. Okazuje się, że w fantastycznych doniesieniach dawnych przyrodników tkwi jednak ziarno prawdy.

Potwierdziły się również pogłoski o agresywności kalmarów. Znane są tragiczne losy dwunastu marynarzy z angielskiego statku transportowego "Britannia", zatopionego 25 marca 1941 roku na środkowym Atlantyku przez niemiecki krążownik "Santa Cruz". Tratwa ratunkowa nie mieściła wszystkich rozbitków, toteż część z nich, na zmianę, stała przebywała w wodzie. Którejś nocy zaczęły się ataki kalmarów. Kiedy po paru dniach podniósł tratwę hiszpański statek handlowy, na jej pokładzie znajdowało się już wówczas tylko trzech marynarzy. Pałące ślady ssawek na skórze jednego z nich, porucznika Coxa, były wymownym świadectwem dramatycznych przeżyć rozbitków.

W 1946 roku norweskie czasopismo "Natur" zamieściło relację kapitana A. Groenningsaetera, dowódcy tankowca "Brunswick" o wyporności 15 tysięcy ton, który został zaatakowany przez kalmar-olbrzyma. Atak nastąpił w jasny dzień między wyspami Samoa a Hawajami. Ponad 20 metrowej długości kalmar szybko doszedł do statku płynącego z prędkością 12 węzłów i przez pewien czas płynął równoległe z nim w odległości około 30 metrów. Potem nagle wykonał zakręt wyprzedzając przy tym statek i wściekle zaatakował. Zwierzę przyczepiło się do burty próbując długimi, sięgającymi pokładu ramionami zadać uderzenie. Kalmar miał jednak kłopoty z utrzymaniem się na śliskiej ścianie tankowca i powoli zsuwał się w kierunku rufy. Śruba zadała mu śmiertelne uderzenie. W powrotnej drodze statek został jeszcze dwukrotnie zaatakowany w tym samym rejonie.

Na marynarzach tankowca spotkania te robiły piorunujące wrażenie. Można sobie wyobrazić, jakich przeżyć dostarczały niegdyś załogom drewnianych żaglowców. Relacje biskupa Pontoppidana zaczynają w tym świetle wyglądać nieco inaczej.

Kalmar olbrzymi, sprawca opisanych ataków, nie jest ośmiornicą, posiada bowiem dziesięć odnóży (dwa z nich są znacznie dłuższe od pozostałych), jest więc dziesięciornicą. Jego ośmiornamienni pobratymcy nie osiągają tak gigantycznej masy ciała, choć, być może, dorównują mu długością. Największa ośmiornica, znaleziona na Lyall Bay w Nowej Zelandii, mierzyła ponad 17 metrów.

Według Williama Beebe, który obserwował kalmary z batyskafu, przebywają one głównie na głębokości od 60 do 885 metrów. Na powierzchni wypływają bardzo rzadko.

W listopadzie 1988 roku kanadyjska ekipa naukowców rozpoczęła penetrację wód oblewających północno-wschodnie części Kanady w pobliżu Grenlandii. Dysponując małą łodzią podwodną naukowcy mają nadzieję napotkać kalmary-olbrzymy, większe od tych, które dotychczas znajdowano wyrzucone na brzeg. Zdaniem szefa wyprawy, biologa Aldricha, zaobserwowanie na tych wodach głowonogów dochodzących do 45 metrów długości nie jest wykluczone.

Nauka ciągle jeszcze posiada niewiele danych o tych zwierzętach. Wiadomo, że należą do najliczniejszych typów zwierząt zamieszkujących ocean. Niektórzy uczeni sądzą, że ich ogólna biomasa jest większa od biomasy każdej innej grupy zwierząt żyjących w morzach czy na lądzie.

Fakt ten daje pewną nadzieję - a także argument - zwolennikom "węży morskiego". Skoro istnienie tak licznie występujących kalmarów nauka odkryła tak niedawno, to kto może powiedzieć na pewno, że inne morskie monstra - które, jeśli są, występują z pewnością nieporównanie mniej licznie - nie istnieją?

SPRAWA YETI

Raporty o spotkaniach z nim dochodzą regularnie z kilku rejonów świata. Występować ma w Himalajach, w Altaju, w górach Pamiru w Tadżykistanie, na Kaukazie, w Kraju Wierchojańskim na Syberii i w górach Tien-Szan, w Tybecie, także w Kanadzie i w USA - w stanach Oregon, Waszyngton i północnej Kalifornii oraz w Ameryce Południowej - w Andach i otaczającej je dżungli. Yeti, ałmas, czuczunaa, kaptar, sasquatch, foowack, bigfoot, sacharuna, tungu - to określenia tego samego stworzenia - "dzikiego człowieka", "leśnego człowieka", "człowieka śniegów" - którego zagadki cywilizowany człowiek nie potrafi do dziś rozwikłać. Fakt rozległego geograficznie występowania sygnałów dowodzi, że yeti nie jest wytworem lokalnego folkloru. Relacje o pojawieniu się yeti składają nie tylko prymitywni Indianie południowoamerykańscy, Szerpowie czy tybetańscy nomadzi, ale również obywatele Chin, ZSRR, Kanady czy USA.

W Stanach Zjednoczonych wiadomości na temat yeti notowane są od 1911 roku. Indianie amerykańscy nazywają go sasquatch - "włochaty olbrzym" - i czczą go. Przy West Sixth Street w mieście Dalles w Oregonie mieści się Centralne Biuro Informacyjne Bigfoota - "wielkiej stopy" - założone w 1972 roku przez Petera Byrne'a. Prawo karne Oregonu przewiduje za zabicie bigfoota wysoką grzywnę z zamianą na 10 lat więzienia.

Chińskie Towarzystwo Poszukiwań "Człowieka Śniegu" posiada w swych archiwach kilkaset relacji o napotkaniu tego stworzenia. Chińczycy prowadzą systematycznie badania na terenach, z których pochodzą sygnały o spotkaniach z yeti.

Od 1950 roku przy Akademii Nauk w ZSRR istnieje - z kilkuletnią przerwą - komisja do badań "śnieżnego człowieka", a przy Państwowym Muzeum Darwinowskim w Moskwie utworzono specjalne stałe seminarium naukowców zajmujące się tym problemem.

Co najmniej 8-10 milionów mieszkańców Sikimu, Bhutanu, północnych Indii, Nepalu i Tybetu uważa za rzecz całkowicie oczywistą, że yeti - istota człekokształtna, 5-7 stóp wysokości, małpi pysk o wyraźnym zarysie szczęk (bez kłów), pozbawiona ogona, przednie kończyny sięgające poniżej kolan, całe ciało pokryte czarno-brązową sierścią - należy do miejscowej fauny. W 1958 roku rząd Nepalu wpisał oficjalnie yeti na listę gatunków zwierząt pod ścisłą ochroną.

Z trzech obszarów, na których doniesienia o wielkiej, kudłatej istocie podobnej do człowieka pojawiają się najczęściej - gór Oregonu w Ameryce Północnej, pasma Andów w Ameryce Południowej i Himalajów - najważniejsza, najbardziej obiecująca wydaje się być ta trzecia scena.

Nie ma wątpliwości, że mieszkańcy Himalajów uważają istnienie yeti za pewnik. W klasztorach buddyjskich przechowywane są w skarbcach relikty yeti, ich podobizny widnieją na malowidłach ściennych, yeti są też opisane w XVIII-wiecznym manuskrypcie chińskim o faunie tybetańskiej.

Dziwne pogłoski o olbrzymach zamieszkujących lodowe wyżyny Himalajów zaczęły docierać do Europy w pierwszej połowie XIX wieku. W 1832 roku brytyjski rezydent w Katmandu, B.H. Hugson, przekazał pierwszą informację o żyjącej w Himalajach "kudłatej istocie podobnej do małpy". W 1877 roku brytyjscy zoologowie wykryli w Sikkimie, na wysokości około 5 tysięcy metrów, pierwsze tropy yeti. W 1899 roku ukazała się książka majora L.A. Waddella "Among Himalayas" ("Wśród Himalajów"), w której autor opisuje wielkie, podobne do ludzkich, ślady bosych stóp znalezione na stokach gór północno-wschodniego Sikkimu. Według opinii miejscowej ludności miały to być ślady włochatych, dzikich ludzi żyjących w rejonie wiecznych śniegów.

W 1921 roku, w czasie pierwszej próby zdobycia północnej ściany Everestu, pułkownik Howard-Bury i członkowie jego wyprawy dostrzegli z daleka poruszające się ciemne plamki - żywe istoty na wysokości powyżej linii śniegu. W parę dni później zbadali to miejsce. Na wysokości około 7000 metrów znaleźli ogromne ślady stóp, podobne do ludzkich, ale trzykrotnie

większe - długości około 60 centymetrów. Tragarze tybetańscy nie mieli wątpliwości, że ślady należą do yeti.

Angielski fotograf N.A. Tombazi, członek Królewskiego Towarzystwa Geograficznego, widział "człowieka śniegu" w okolicy lodowca Zemu na wysokości 4500 metrów, a w sześć lat później angielski pilot E.B. Beaman, spostrzegł go na lodowcu w pobliżu źródeł Gangesu na wysokości 4200 metrów.

Najbardziej fantastyczne opowiadanie o spotkaniu z yeti pochodzi od pewnego hinduskiego pielgrzyma, człowieka wykształconego, znającego nie tylko kulturę i filozofię własnego kraju, ale także cbeznanego z wiedzą Zachodu. Wśród entuzjastów yeti opowiadanie to uchodzi za najdziwniejsze spośród wszystkich relacji i choćby z tego względu warte jest przytoczenia:

"Prawdą jest, że w niektórych puszczech Nepalu żyje rasa olbrzymów. Nie są to ani niedźwiedzie, ani małpy. Rozmawiałem z ludźmi, którzy je widzieli z daleka i słyszeli, jak rozmawiają nieznanym językiem. Raz też miałem okazję oglądać je na własne oczy.

Po drodze do klasztorów tybetańskich w pobliżu północnej granicy Nepalu dowiedziałem się od przyjaciół, że znaleziono ślady yeti i że mała, uzbrojona wyprawa udaje się w tamtym kierunku. Poszedłem z nimi; osiem dni szliśmy przez wysoką, wznoszącą się do 3 metrów dżunglę. Pewnego spokojnego popołudnia usłyszeliśmy dźwięk przypominający werble. Znajdowaliśmy się w miejscu dzikim i opuszczonym. Śnieg skrzył się nad nami, pokruszone skały, olbrzymie drzewa i wspaniałe wodospady tworzyły piękny widok. Zrazu sądziliśmy, że słyszymy odgłos jakiejś potężnej lawiny, jednak w dźwiękach można było dosłyszeć pewnego rodzaju rytm. Jakies plemię krajowców musi być niedaleko. Postanowiliśmy zasięgnąć u nich języka.

Zbliżyliśmy się do miejsca, skąd dochodziły dźwięki. W tem ktoś dostrzegł ślady stóp w miękkim gliniastym gruncie. Przed nami, w nieregularnych rzędach, widniały ślady olbrzymich nagich stóp, około 60 centymetrów długości. Strach przeniknął wszystkich. Yeti! - krzyknęli i rzucili się do

ucieczki, zapominając, po co tu przyszli. Zostało nas trzech. Powiedzieliśmy sobie, że przecież stworzenia te nie mogą być straszniejsze od tygrysów i dzikich słoni - skoro daliśmy sobie radę z takimi bestiami, poradzimy sobie chyba także z yeti.

Ruszyliśmy ostrożnie naprzód. Hałas wzrastał. Nagle jeden z towarzyszy dał znak, by się zatrzymać. Przed nami, w naturalnym kręgu, uformowanym przez wysokie skały, wśród wielkich odłamów skalnych ujrzelśmy z dziesięć olbrzymich małpołudów, wysokich na 3 do 3,6 metra. Jeden z nich uderzał w prymitywny tam-tam z wyżłobionego pnia. Sądząc po hałasie, jaki czynił, musiał być bardzo silny. Pozostali w milczeniu kiwali się z boku na bok w takt "muzyki". Widocznie był to jakiś religijny obrządek, gdyż ich powaga wskazywała, że biorą udział w magicznym rytuale. Ciała pokryte mieli sierścią, twarze pół-ludzkie, pół-malpie. Nie sprawiali jednak wrażenia zwierząt. Ten, który uderzał w tam-tam, stał zupełnie prosto, jak człowiek. Byli nadzy mimo silnego mrozu, a ich twarze, choć przerażające, nosiły dziwny wyraz smutku.

Długo przyglądaliśmy się tym przedstawicielom nieznaney rasy, która odziliła się od ludzi. Skąd się wzięli? Kim byli? Żadne plemię ludzkie nie mieszkało w sąsiedztwie. Znano ich tylko z olbrzymich śladów, które zostawiają na śniegu i w gliniastym gruncie. Jak żyli? Czym się żywili? Ci z nas, którzy czasem padają ich ofiarą, nie wracają nigdy, by o tym donieść".

W latach trzydziestych większość doniesień o spostrzeżeniu śladów yeti lub zauważeniu go w Himalajach wiązała się z próbami zdobycia Everestu. W 1936 roku, powracając z nieudanej wyprawy na szczyt, Erik Shipton zobaczył ślady na wysokości 4800 metrów. Tragarze jego wyprawy odmówili dalszej podróży twierdząc, że wielu ich przyjaciół padło ofiarą yeti i nie chcieliby podzielić ich losu. W tym samym roku Ronald Kaulback, znany etnograf i botanik, znalazł podobne ślady na tej samej wysokości w południowo-wschodnim Tybecie, na głównej trasie między dolinami Ge-chu i górnym Salween. W 1937 roku Frank Smythe natknął się na nie w dolinie Bundhar na wysokości 6000 metrów. Ślady prowadziły do jaskini. Nieco później John Hunt odkrył ślady w Zemu Gap, a w rok po nim,

podczas nowej próby zdobycia Everestu, H.W. Tilman natrafił na świeże tropy w tym samym miejscu.

W latach czterdziestych Europejczycy po raz pierwszy zetknęli się z yeti - rzec by można - namacalnie. Brytyjski opiekun pomnika Viktorii w Kalkucie został napadnięty przez yeti, zaciągnięty do groty skalnej i przykryty warstwą kamieni, spod której wydostał się z licznymi obrażeniami. Zaatakowani zostali również dwaj angielscy geolodzy; jeden z nich musiał się po tym poddać kuracji w szpitalu w Darjeeling.

W latach pięćdziesiątych yeti stał się modny na Zachodzie. Odkąd król Nepalu Tribhuvana przy pomocy Indii odsunął od władzy miejscową arystokrację feudalną (1951 rok) i doprowadził do zniesienia trwającej od 2500 lat izolacji kraju, każdy mógł odwiedzić Nepal. Po okresie fantazji i swobodnych domniemywań, w historii poszukiwań yeti nastąpił teraz entuzjastyczny okres wielkich łowów, kiedy wydawało się, że złowienie lub upolowanie "człowieka śniegu" jest kwestią najbliższego czasu.

Pod koniec 1953 roku redakcja "Daily Mail" rozpoczęła przygotowania do szeroko zakrojonej wyprawy poszukiwawczej. Parę miesięcy wcześniej, 29 maja 1953 roku, Nowozelandczyk Edmund Hillary i Szerpa Tenzing Norkey stanęli po raz pierwszy na szczycie Mount Everestu. Po zakończeniu ataku, gdy zwycięska wyprawa odpoczywała w Tyangboche, kierownik ekspedycji, wspomniany już John Hunt, udał się do klasztoru położonego w odległości 22 kilometrów od szczytu, na wysokości 4300 metrów, by zasięgnąć języka na temat yeti. Okazało się, że lamowie widywali niekiedy "śnieżnego człowieka" na wzgórzach w pobliżu swojego klasztoru, a w 1949 roku yeti zbliżył się do zabudowań klasztornych na odległość 200 metrów i bawił się w śniegu. Stwór poruszał się w pozycji wyprostowanej, czasem na czworakach, drapał się w sposób charakterystyczny dla małp. Mnisi przepłoszyli go wówczas hałasując na trąbkach i cymbałach. Świadkiem tej sceny był inny znany Szerpa Sen Tenzing, oraz paru tragarzy z jego zespołu.

Krótko przed wyruszeniem ekspedycji "Daily Mail" tybetański lama, Chemed Rigdzin Dorje Lopus, przekazał nowe, ciekawe informacje

dotyczące yeti. Zdaniem lamy yeti jest dużą, zupełnie nieszkodliwą małpą, która nigdy pierwsza nie atakuje ludzi. Mistrz Dorje Lopu, lama Tsultung Zangbu, jeden z najlepiej wykształconych ludzi w Tybecie, miał się kiedyś spotkać z yeti na górskiej ścieżce, kiedy udawał się na modły w górach Chari w Assamie. Yeti, który dźwigał dwa wielkie kamienie, minął obojętnie lamę nie okazując przestrochu ani chęci do walki. Lama Dorje Lopu twierdził również, że w klasztorach w Riwoche w prowincji Khan, i w Sakya, na drodze z Katmandu do Shigates, widział dwa zabalsamowane, przechowywane jako relikwie ciała yeti. Miały to być wielkie małpy o wzroście około 2,40 metra, ich czaszki były "grube i spłaszczone".

W styczniu 1954 roku ogromna ekspedycja "Daily Mail" ruszyła z Katmandu w góry. Wraz z tragarzami składała się z około 300 osób, a w jej skład wchodził doświadczony alpinista i kilku naukowców. Wszystkich podzielono na trzy grupy, aby przeszukać możliwie największy obszar. W ciągu trwających 15 tygodni poszukiwań wyprawie nie udało się ani razu zobaczyć yeti, czemu zresztą trudno się dziwić - stuosobowe grupy z pewnością piosły z daleka wszystko, co żyło w promieniu wielu kilometrów. W wszystkim grupom udało się natomiast natrafić na liczne ślady yeti, należące do przynajmniej kilkunastu osobników. "Ślad pojedynczego yeti nie sprawia już na nas żadnego wrażenia" - pisał jeden z uczestników wyprawy.

Obok śladów znaleziono także ekskrementy. Analiza przeprowadzona przez amerykańskiego zoologa Gerarda Russela wykazała, że zawierały one sierść i kości szczekuszki (gryzonia spokrewnionego z zającami, zamieszkującego wyższe partie gór nawet do wysokości 6000 metrów), pióro młodej kuropatwy, nieco trawy, jeden kolec, nóżkę jakiegoś owada. Potwierdziło to w zasadzie władomości Szerpów na temat odżywiania się yeti. Ich zdaniem żywi się on głównie drobnymi ssakami góorskimi i dużymi owadami, zjada też pewną ilość gliniastej ziemi i rosnące w wysokich górach mchy i porosty ze względu na zawartą w nich sól. Tłumaczyłoby to niezrozumiałe wysokogórskie wędrówki yeti ponad linię śniegów.

Wyprawa nie była jednak całkowitym fiaskiem. Jej uczestnicy zebrali lub potwierdzili szereg informacji o yeti. Nie udało im się wprawdzie zobaczyć zabalsamowanych zwłok, o których wspominał lama Dorje Lodu, ale niewątpliwym sukcesem wyprawy było dotarcie do skalpów yeti przechowywanych w klasztorach Thyangboche i Khumjung. Mnisi z tego ostatniego klasztoru wspominali też o posiadanej niegdyś skórze yeti, która jednak zniknęła w tajemniczych okolicznościach. Skalpy z Thyangboche i z Khumjung okazały się bez wątpienia autentyczne, natomiast sprawa zaginionej skóry wyjaśniła się, jak się zdaje, przy okazji wizyty w klasztorze Namche Bazar. Tamtejsi lamowie również posiadali skalp, ale okazał się on falsyfikatem zszytym z kawałków skóry takiej samej jak w oryginalnych skalpach. Sporządzono go zapewne dla zaspokojenia "patriotyzmu lokalnego" mieszkańców Namche Bazar, którzy również pragnęli mieć taką relikwie.

Do końca lat pięćdziesiątych Himalaje przeżywały niemal najazd ekip poszukiwawczych z różnych krajów, między innymi z Japonii, Francji, Szwajcarii, Wielkiej Brytanii, Stanów Zjednoczonych i Związku Radzieckiego.

W maju 1955 roku francuska ekspedycja na szczyt Makalu natrafiła na Barun Col na świeży trop yeti. Ksiądz T. Bordet, geolog wyprawy, szedł śladem przeszło kilometr, aż do jeziora, gdzie zwierzę prawdopodobnie schodziło pić. Nie ulegało wątpliwości, że ślad należał do dwunoga, który nawet w trudnym górskim terenie poruszał się w postawie wyprostowanej. Ksiądz Bordet natrafił również na hinduską mapę Himalajów, na której obszar wokół Everestu oznaczony jest jako Mahalangur Himal, co oznacza Góry Wielkich Małp. Ponieważ na tym terenie żadne małpy nie występują, nazwa może więc odnosić się do yeti, co do istnienia których mieszkańcy tych okolic nie mają żadnych wątpliwości.

W czerwcu tego samego roku dwaj członkowie wyprawy zorganizowanej przez klub alpinistyczny RAF-u, A.J.M. Smyth i J.R. Lees, natrafili na świeże ślady yeti w dolinie Kultli, na wysokości około 4000 metrów. Ślady miały długość od 15 do 30 centymetrów. Istoty, które je pozostawiły,

zapadały się w śnieg na głębokość do 27,5 centymetra, podczas gdy ślady alpinistów miały tylko 2,5 centymetra głębokości. Stworzenia musiały więc być kilkakrotnie cięższe od ludzi.

Ciekawy wkład do "yetologii" wniosła amerykańska wyprawa pod wodzą Toma Slicka z Teksasu, która przez trzy miesiące, od wiosny 1957 roku, penetrowała podnóża Himalajów we wschodnim Nepalu. Zebrane przez wyprawę obserwacje pozwoliły Slickowi wysunąć przypuszczenie o istnieniu dwóch odmian yeti: większej, o czarnej sierści i wzroście do 2,6 metra, oraz mniejszej o rudawym owłosieniu. Ślady znalezione przez wyprawę w wyższych partiach gór dochodziły do 32,5 centymetra, w niższych rejonach przypominały ślady człowieka średniego wzrostu.

Slick zdobył też cenną informację, że Tybetańczycy dzielą yeti na trzy rodzaje. Największe, o wzroście około 4,3-5,2 metra, żyją grupami w rejonie wiecznych śniegów, a w skład ich diety wchodzi także mięso dużych zwierząt, nie wyłączając niekiedy człowieka. Średnia rasa osiąga wzrost do 2,3 do 3 metrów, jest wszystkożerna i zamieszkuje nieco niżej - od 3300 do 4300 metrów. Najmniejsze yeti nie przekraczają średniego wzrostu człowieka.

W 1961 roku spore zamieszanie wśród entuzjastów yeti wywołał Sir Edmund Hillary, który po zakończeniu ekspedycji badawczej zorganizowanej przez chicagowską World Book Encyclopedia i przeanalizowaniu jej wyników przez ekspertów w Chicago, Paryżu i Londynie opublikował raport, w którym stwierdzał jednoznacznie, że yeti jest czystym wymysłem.

Hillary był autorytetem. Pierwszy zdobywca Mount Everestu, człowiek, który w pięć lat później dotarł także do bieguna południowego, a za swe niecodzienne wyczyny otrzymał tytuł szlachecki, uprawił "yetologów" w konsternację. Przez parę lat w "sprawie yeti" trwał okres zakłopotanego milczenia.

Trwał dokładnie do 1970 roku, kiedy to Don Williams, zastępca kierownika brytyjskiej ekspedycji na Annapurnę, wyszedł kiedyś ze swego namiotu rozbitego na wysokości 4000 metrów i stanął twarzą w twarz z "czymś

będącym pół-gorylem i pół-niedźwiedziem". Szerpowie powiedzieli mu, że ślady tej dziwnej istoty są tropami yeti.

W końcu roku amerykańska wyprawa przyrodników koczująca w śniegach wschodniego Nepalu koło szczytu Kongmaa La znalazła tropy yeti w świeżym śniegu koło swych namiotów. Ślady zostały zrobione w nocy. Wyprawą kierował zoolog E.W. Cronin jr., a w jej skład wchodził doświadczony specjalista zoologii ssaków i lekarze.

W 1973 roku świeże ślady yeti widział John Hunt, szef pamiętnej wyprawy Hillarego na Everest, a w rok później polska wyprawa na Lhotse sfilmowała ślady dwóch osobników. Film był prezentowany w telewizji polskiej, pokazano go też w Katmandu w czasie uroczystości odbywających się z okazji 25 rocznicy zdobycia Everestu. Zdjęcia oceniano jako "zdumiewające i bardzo przekonujące".

W lipcu 1974 roku yeti zaatakował w rejonie Everestu pewną dziewczynę z plemienia Szerpów, obalił ją i zabił dwa jaki, które pasła. Po okazaniu ofierze napaści na zdjęciach niedźwiedzi i różnych małp czł. koksształtnych dziewczyna wybrała fotografię orangutana stwierdzając, że jest on najbardziej podobny do zwierzęcia, które ją zaatakowało. Badania policjantów nepalskich oraz obozujących opodal przedstawicieli amerykańskiego Korpusu Pokoju potwierdziły wiarygodność opowieści.

W styczniu 1978 roku po zaatakowaniu jednego ze strażników leśnych przez yeti, ministerstwo leśnictwa w Sikkimie zorganizowało wyprawę, której celem było między innymi zbadanie przypuszczalnego szlaku migracji yeti z doliny Dombang do puszczy Kishongia.

Ciekawe sygnały dotyczące "sprawy yeti" przyniosły także lata osiemdziesiąte. Będzie jeszcze o tym mowa.

Również Chińczycy dysponują pokazną kartoteką tajemniczego "człowieka śniegów". Do redakcji gazet, na adres uniwersytetów i muzeów nadchodzą najdziwniejsze relacje o spotkaniach z yeti. Najwięcej doniesień pochodzi z centralnej prowincji Hubei. Jesienią chłopci, którym trudno jest wyżywić się z uprawy jałowej gleby, wyruszają w góry na polowania.

Wracają nierzadko poruszeni spotkaniami z nieznanym człekokształtnym zwierzęciem.

Chińscy uczeni nie lekceważą tych relacji. Właśnie w Chinach młody holenderski uczony Ralph von Koenigswald odkrył w 1934 roku ogromne, podobne do ludzkich zęby, a potem fragment szczęki olbrzymiej człekokształtnej małpy, której wzrost szacowano na 3,4 - 4 metrów. Odkrycia na Górze Olbrzymów (Leng-Chai-Shang) w południowych Chinach potwierdziły te teorie. Profesor Pei-Wun-Chung, antropolog, stwierdził w 1957 roku, że znalezione kości nie pochodzą od człowieka, dodając jednocześnie, iż "... ta małpa człekokształtna jest bliższa człowiekowi niż jakiegokolwiek inne małpy dotąd znane".

Niektóre cechy tego stworzenia - wzrost, tryb życia, a także cechy morfologiczne - przypominają w uderzający sposób opisy yeti. Niektórzy uczeni przypuszczają, że część małpoludów zamieszkujących niegdyś obszar dzisiejszych Chin, mogła przetrwać do naszych czasów chroniąc się przed człowiekiem na trudno dostępnych terenach, zwłaszcza w wysokich górach.

Duża ilość napływających z gór doniesień o zauważeniu człekokształtnych zwierząt skłoniła chińskich naukowców do zorganizowania szeregu ekspedycji dla wyjaśnienia zagadki. Największa wyprawa, licząca 110 uczestników, w tym 32 naukowców, odbyła się w 1977 roku. Przez szereg miesięcy jej członkowie pracowali w górach Szen-non-gija. Rezultaty wyprawy były raczej skromne: znaleziono ślady stóp, kępki włosów, odchody. Zebrano też szereg nowych relacji chłopów. Koronnego dowodu - żywego yeti - nie napotkano.

Profesor Xu-Jon-gin, antropolog z Muzeum Historii Naturalnej w Szanghaju, szef wyprawy, nie ma wątpliwości, że yeti istnieje: "Dorosły osobnik tego nieznanego gatunku mierzy prawdopodobnie do 2 metrów, porusza się na dwóch kończynach, a jego postawa jest wyprostowana. Ciało tego stworzenia pokryte jest brązoworudym owłosieniem. Starsze osobniki siwieją - dysponujemy bowiem całkowicie białą sierścią. Stworzenie to prowadzi zbieraczy, koczujący tryb życia i nie jest

agresywne, co wiemy głównie z relacji świadków. Wiele tych relacji pochodzi od ciemnych, przesądnych chłopów, popadających w poploch na widok niedźwiedzia czy leśnej małpy. Jednakże jest wiele wiarygodnych relacji, których nie możemy wyjaśnić inaczej jak tylko istnieniem nieznanego gatunku zwierzęcia”.

Wiele wskazuje na to, że chińscy uczeni na temat yeti nie powiedzieli jeszcze ostatniego słowa.

W bogatym archiwum Państwowego Muzeum Darwinowskiego w Moskwie znajduje się przeszło 1500 doniesień pochodzących głównie z pięciu rejonów ZSRR: z Czukołki, Kaukazu, Pamiru, Jakucji i rejonu dolnego Obu. Relacje składają nie tylko tubylcy - Nieńcy, Ewenkowie, Czukczowie, Jakuci, górale z Kaukazu i Pamiru - ale także przybysze z europejskich republik Kraju Rad, wśród których nie brak wojskowych, działaczy partyjnych, milicjantów, nauczycieli czy geologów.

Przeprowadzona na początku lat sześćdziesiątych ankieta wśród mieszkańców Nienieckiego Okręgu Autonomicznego wykazała, że niemal wszyscy przekonani są o istnieniu "dzikiego człowieka" - tungu - a prawie 25 procent respondentów widziało go, lub słyszało o takim spotkaniu od członków swojej rodziny. Według Nieńców tungu jest kudłaty, bardzo wysoki, szczupły i potrafi zadziwiająco szybko biegać. Wszyscy też podkreślali jego umiejętności ogłuszającego gwizdania, którym przeraża zwierzęta i ludzi, oraz fakt, że od dziesięciu lat prawie go nie widziano, choć niegdyś - jeszcze w latach sześćdziesiątych - spotkania były częste.

W Jakucji odległej o przeszło 5 tysięcy kilometrów od kraju Nieńców żyć ma czuczunaa. Tubylczy Ewenkowie charakteryzują go jako kudłatego, mierzącego ponad 2 metry wzrostu, groźnego dla ludzi stwora. Głos ma ochryply, trzeszczący, czasem przerażająco gwizdże. Dość często spotykano go jeszcze w latach trzydziestych, później już tylko sporadycznie. Po raz ostatni widziano go w lutym 1978 roku.

Również Czukczowie wspominają o istnieniu jakiegoś tajemniczego dwunożnego stwora - wysokiego, barczystego, biegającego bardzo szybko.

Jedne z najciekawszych opisów spotkań z yeti pochodzą z 1925 roku, ich autorem jest generał-major Michaił Topilski, czekista, który dowodził jednostkami walczącymi z oddziałami basmaczy w rejonie gór Pamiru. Żołnierze ustrzelili dziwnego stwora. Topilski wraz z lekarzem wojskowym obejrzał go i dokładnie opisał w protokole. Był on niezwykle podobny do człowieka, bardzo silnej budowy i wzrostu ponad 180 centymetrów. Zabity nie miał na sobie ubrania, ciało pokryte było gęstym owłosieniem ciemnobrunatnego koloru, długości 5-7 centymetrów. Na twarzy owłosienie było krótkie i miękkie, czoło bardzo niskie i nad oczami mocno wystające kości, zęby równe, bardzo duże, nos płaski. Trupa pochowano, lecz później nie udało się go odnaleźć.

Drugi opis pochodzi z lipca tego samego roku z zachodniego Pamiru, z okolicy nazwanej przez miejscowych górą "ustroniem śnieżnego człowieka". Żołnierze zapędzili niedobitki oddziału basmaczy w ślepy wąwóz. Pozostali przy życiu uciekinierzy schronili się przed ostrzałem w jednej z jaskiń. Żołnierze przygotowywali się do ataku, kiedy z jaskini rozległy się wrzaski, huk wystrzałów, potem w popłochu wybiegli z niej basmacze. Czerwonoarmiści obrzucili ich granatami. Za ostatnim basmaczem wyskoczył kudłaty stwór z maczugą w dłoni. Maczuga spadła na lewy bark basmacza łamiąc mu, jak się potem okazało, obojczyk. Basmacz zdołał jeszcze trzykrotnie wystrzelić do napastnika. Huk wystrzałów i wybuchy granatów pociągnęły za sobą lawinę śnieżną, która zasypała trupy, ale żołnierze odkopali je. Jak i poprzednio, Topilski wraz z lekarzem obejrzał "kudłacza". W raporcie zanotował: "Wzrost 165 centymetrów, szyja krótka, porośnięty sierścią, szczególnie na grzbiecie. Sierść brązowa, na piersi ciemniejsza, siwawa. Barwa skóry żółtawa, woskowa. Oczy piwne, głęboko osadzone. Kolana zrogowaciałe, pozbawione sierści. Nogi krótkie, proste. Oddział nie był wyposażony w aparat fotograficzny, a szczątków, zdaje się, nigdy nie szukano.

Topilski w swoich notatkach wspomina jeszcze o jednym spotkaniu z tajemniczymi istotami, które miało miejsce parę dni wcześniej. Któregoś ranka wartownik zameldował, że po drugiej stronie szczeliny lodowej, nad

którą biwakował oddział, w odległości pół kilometra, idzie "trzech ludzi". Topilski obejrzał ich przez lornetkę. "Wszystko wskazuje na to, że była to rodzina "śnieżnych ludzi" - wysoki, potężny samiec, samica i dziecko".

Od blisko 30 lat Rosjanie organizują wyprawy poszukiwawcze w góry Kaukazu i Pamiru, a także do południowej Mongolii. W 1964 roku profesor Borys Porszniew, znany radziecki entuzjasta yeti, autor pionierskiej monografii poświęconej "ludziom śniegu", podał informacje o znalezieniu w górach Mongolii dwóch czaszek hominidów, prawdopodobnie neandertalczyków. Charakterystyczne, że znaleziska dokonano w miejscu, w którym wiele osób - "od pastucha do miejscowych autorytetów" - niejednokrotnie widywało tajemnicze dwunożne stworzenia.

W 1977 roku w rejonie Grzbietu Hisarskiego w Tadżykistanie grupa alpinistów znalazła ślady bosych stóp i zauważyła sylwetkę yeti. W 1978 roku ekspedycja pod wodzą Igora Tacla, biwakująca nad niewielkim jeziorem w górach na północny zachód od Duszanbe, stolicy Tadżykistanu, została obrzucona kamieniami przez "włochatych ludzi". W rok później, 21 sierpnia, w tym samym rejonie znaleziono odcisnięty w gliniastym gruncie wyraźny ślad bosej stopy o długości 35 centymetrów i szerokości 16 centymetrów na wysokości palców. Odległość między pojedynczymi śladami wynosiła 120 centymetrów. Przypominały one podobne ślady znalezione nieco wcześniej, w Tanzanii - odcisnięte kilkaset lat temu w miękkiej warstwie popiołu wulkanicznego. Kolejne ślady znaleziono w Tadżykistanie w 1980 roku.

Znany radziecki zoolog S.K. Kłumow podkreśla konieczność pilnego zorganizowania naprawdę poważnych, szeroko zakrojonych wypraw badawczych. Radzieckie wyprawy liczą przeważnie po kilku lub kilkunastu uczestników, tymczasem ilość doniesień o napotkaniu "dzikiego człowieka" systematycznie maleje i z każdym rokiem maleją szanse na pozytywne rezultaty ekspedycji. Zdanie Kłumowa podziela wielu innych radzieckich uczonych.

Wielkie człekokształtne stwory mają zamieszkiwać również Andy i dżungle Ameryki Południowej. Pierwsze informacje na ten temat dotarły

do Europy pod koniec XVI wieku, za czasów panowania w Anglii królowej Elżbiety I. Przywiozła je z Gujany angielska wyprawa po złoto, prowadzona przez Sir Waltera Raleigha. Do Hiszpanii podobne doniesienia wpłynęły w pierwszych latach XVII stulecia od poszukiwaczy złota z północnego wybrzeża.

W 1769 roku doktor Edward Bancroft potwierdził, że w głębi Gujany spotyka się jakieś wielkie małpy "o wiele większe niż małpa afrykańska", a w 30 lat później Aleksander von Humboldt nad górnym Orinoko słyszał opowieści o "włochatym człowieku leśnym", który mieszka w szalasach, porywa kobiety i jest niebezpieczny dla ludzi. Opowiadania pochodziły od Indian, ale miejscowi misjonarze potwierdzali ich prawdziwość.

Z 1920 roku pochodzi doskonała fotografia dużej, nieznannej małpy zastrzelonej przez szwajcarskiego geologa Francoisa de Loyosa w lasach nad rzeką Tarra na pograniczu Wenezueli i Brazylii. Zwierzę nie miało ogona i posiadało 32 zęby, a więc tyle, ile posiadają małpy człekokształtne, a także człowiek. Rzecz w tym, iż antropolodzy uważają za pewnik, że żadne małpy człekokształtne nie występowały i nie występują na obszarze Ameryki. Zagadka "małpy de Loyosa" do dziś czeka na rozwiązanie.

Z okolic Mato Grosso w Brazylii, a także z Paragwaju, od XIX wieku aż do czasów nam współczesnych pochodzą doniesienia o dwunożnych zwierzętach zabijających bydło. Ślady tych istot, podobne do ludzkich, dochodzą do 55 centymetrów długości.

Podobnych relacji, napływających od Indian, poszukiwaczy złota, zbieraczy kauczuku, osadników i myśliwych, jest wiele. Rolf Blomberg, szwedzki podróżnik, przyrodnik, poszukiwacz skarbów i pisarz, przytacza dwie opowieści na temat "leśnego człowieka" · sacharuny · złożone przez ludzi, jak pisze, bardzo wiarygodnych.

Pierwsza odnosi się do przeżyć jedenastoletniej dziewczynki. Mieszkała ona z rodzicami na małej plantacji koło osady Napo nad rzeką o tej samej nazwie w Ekwadorze. Dziewczynka zniknęła pewnego dnia i długo szukano jej nadaremnie, aż wreszcie stracono wszelką nadzieję. W kilka tygodni później paru Indian Jumbo podróżowało czołnem po rzece Napo. W miejscu

oddalonym od zamieszkałych okolic usłyszeli nagle, ku swemu zdumieniu, dochodzący z dżungli płacz dziecka. Wylądowali i przetrzęsnęli nadbrzeżny pas zarośli. Znaleźli siedzącą pod drzewem ową zaginioną dziewczynkę. Nie była wychudzona ani wyniszczona po długim pobycie w lesie. Dziewczynka tłumaczyła to następująco: została porwana z plantacji przez istotę podobną do małpy, wielkości człowieka, która przez cały czas zaopatrywała ją w żywność - owoce, pędy palmowe, jaja dzikich ptaków - tak, że nie cierpiała głodu. Małpolud znakami i na w pół ludzkim głosem dał jej do zrozumienia, że ją zabije gdyby usiłowała uciec. Indianie czym prędzej zabrali ją na łódź, gdyż małpolud, który wybrał się na poszukiwanie żywności, mógł zjawić się w każdej chwili. Dziewczynka powtórzyła późniejsze opowiadanie wobec rodziców i wobec wielu innych osób, opisując szczegółowo wszystko, co jej się przytrafiło, dzień po dniu, i ani razu nie popadając w sprzeczności. Jej opowiadanie nosiło - według powszechnej opinii - znamiona całkowitej prawdy.

Druga relacja pochodzi z okolic Santo Domingo de los Colorados w Ekwadorze, z puszczy po zachodniej stronie Andów. Emilio Bonifaz, myśliwy, zoolog i antropolog-amator, usłyszał w czasie jakiegoś polowania dochodzące z głębi puszczy dźwięki żywo przypominające głosy ludzkie, a na pytanie, czy w pobliżu mieszkają ludzie, towarzyszący mu Indianie odpowiedzieli, że to głos sacharuny. Twierdzili, że w tej okolicy żyją dwie lub trzy sacharuny, i że przed kilku laty zabili nawet jedną z nich. Przerażeni jej niemal ludzkim wyglądem, z obawy, że mogą zostać oskarżeni o morderstwo, zakopali ją czym prędzej w ziemi. Wskazali Bonifazowi miejsce, gdzie ją pogrzebali. Myśliwy rozkopał to miejsce i znalazł szczątki kości. Były jednak fragmentaryczne, rozwleczone przez padlinożerne zwierzęta.

Ze słów Indian wynikało, że sacharuny mają wzrost około 2 metrów i chodzą wyprostowane. Są one owłosione jak małpy, lecz mimo to sprawiają wrażenie ludzi. Samica ma piersi jak kobieta. Wędrują samotnie po lesie, śpią siedząc pod drzewami i są agresywne wobec każdego, kto się do nich zbliża.

Koło hacjendy w pobliżu Juan Montalvo miano zastrzeżyć kilka takich stworów. Indianie utrzymywali też, że oddziałowi żołnierzy zdążających do miasta Babahoyo udało się złapać sacharunę, kiedy przebiegała przez drogę. Zamknięto ją w klatce, ale w nocy uwolniła się i uciekła do lasu.

Emilio Bonifaz miał z sobą dzieło o antropologii. W książce był obrazek przedstawiający przypuszczalny wygląd prymitywnego neandertalczyka. Indianie wybrali ten wizerunek spośród innych, twierdząc, że niemal tak samo wyglądała sacharuna, którą zabili.

Ostatnim rejonem, na którym tajemnicza dwunożna istota skutecznie wymyka się tropicielom, są północno-wschodnie tereny Stanów Zjednoczonych. Przypuszczenie, że w Nowym Świecie mógłby żyć małpolud, jest w świecie naukowym przyjmowane jako herezja. Na terenach obu Ameryk nigdy nie było małp człekokształtnych - twierdzą antropolodzy. Tymczasem wiele indiańskich szczepów uważa sasquatcha za zwierzę realnie istniejące, a od pierwszych lat XIX stulecia także biali Amerykanie sygnalizują pojawianie się tajemniczych wielkich śladów podobnych do ludzkich. W 1810 roku handlarz futer D.Thompson, który widział tropy, próbował zorganizować polowanie na bigfoota - "wielką stopę" - ale spotkał się ze zdecydowanym sprzeciwem Indian, którzy uważali ten pomysł za zbrodniczy.

W 1958 roku ślady bigfoota znaleziono w Humboldt Country w północnej Kalifornii. Wykonano wówczas kilka gipsowych odlewów tropów, a sprawą zainteresowała się prasa całej Ameryki. W 1967 roku widziano trzy postacie dwunożnych olbrzymów w okolicy Bound Mountain w Oregonie. Jeden ze świadków obserwował, jak podnosiły przeszło stukilogramowe kamienie w poszukiwaniu gniazd gryzoni.

W tym samym roku, 20 października, nad Bluff Creek w Kaliforni Roger Petterson nakręcił amatorską kamerą z odległości 30 metrów 20-sekundowy film uwieczniając przebiegającego bigfoota na taśmie. Stworzenie miało 180

210 centymetrów wzrostu, wagę - oceniając po głębokości pozostawionych śladów, które mierzyły około 40 centymetrów długości szacowano na 175 - 400 kilogramów. Film pokazano także w naszej

telewizji. Jego autentyczność i wiarygodność oglądanego na nim zwierzęcia potwierdzili eksperci z USA, Związku Radzieckiego i Wielkiej Brytanii.

W maju 1874 roku widziało bigfoota trzech drwali pracujących w lasach Hoot River w Oregonie. Stworzenie miało blisko 2 metry wzrostu, masywną, barczystą sylwetkę, pokryte było gęstą czarną sierścią. Kiedy zorientowało się, że jest obserwowane - "...odwróciło się i odeszło - z wdziękiem jak atleta, długim sprężystym krokiem" - wspomina jeden ze świadków, Jack Cochran. Następnego dnia miejsce spotkania badała ekipa Centralnego Biura Informacyjnego Bigfoota z Dalles pod kierownictwem swego założyciela Petera Byrne'a. Znaleźiono głęboko odcisnięte w gruncie ślady małpołuda, a obok znacznie płytsze ślady goniących go drwali.

Znany amerykański antropolog, profesor Grower Kranz z uniwersytetu w Waszyngtonie, odkrył w górach Oregonu ślady długości około 40 centymetrów i sporządził ich doskonale odlewy w tworzywie sztucznym. Na odlewach wyraźnie zaznaczone są linie papilarne, takie same jak na dłoniach i stopach ludzkich. Pod mikroskopem można nawet zobaczyć pory kanalików potowych. Czterdziestu ekspertów daktyloskopii uznało sfabrykowanie takich dokumentów za niemożliwe.

Profesor Kranz nie ma wątpliwości, że bigfoot istnieje. Inni naukowcy są znacznie bardziej sceptyczni - zaliczają go co najwyżej do zwierząt "hipotetycznych". W 1955 roku Bernard Heuvelmans - twórca kryptozoologii, młodej nauki zajmującej się odkrywaniem nieznanych zwierząt - sądził, że "...niedowiarków przekona tylko dobre zdjęcie lub film ukazujący żywego yeti". Okazało się to zdecydowanie niewystarczające. Leszek Kleczkowski i Sławomir Piłkuła, autorzy wydanej w 1985 roku ciekawej książki traktującej między innymi o reliktowych hominidach, posuwają się dalej w sceptycyzmie. Ich zdaniem uczonych przekonać mogłoby jedynie bezpośrednie zetknięcie się z yeti - "...przy założeniu oczywiście, że obecnych przy tym wiekopomnym zdarzeniu byłoby przynajmniej 10 naukowców z różnych krajów (by uniknąć zarzutu fałszerstwa), telewizja przeprowadziłaby bezpośrednią transmisję ze spotkania, a stworzenie zniosłoby spokojnie takie oględziny".

Sam Kranz na pytanie, czego jeszcze potrzeba, aby świat naukowy uwierzył w tajemniczego hominida, odpowiada po prostu: "… tylko kawałek ciała. Nic innego nie zostanie zaakceptowane". Przy pomocy helikoptera wyposażonego w aparaturę do wykrywania źródeł podczerwieni, amerykański antropolog zamierza szukać dowodu ostatecznego ciała zmarłego małpoluda. Leżące gdzieś w górach czy lasach Oregonu zwłoki mają ujawnić swą obecność specyficznym promieniowaniem.

Kim mógłby być tajemniczy "człowiek śniegów" - jeśli istnieje? Niektórzy antropolodzy przychyłają się do zdania, że jest on bądź to jedną z odmian hominidów, które pojawiły się równoległe z *Australopithecusem* i *Homo*, mając za wspólnego przodka ramapiteka (yeti byłby więc drugim obok człowieka - potomkiem, który przetrwał), albo też jest potomkiem jednej z grup pochodzących od niego najpóźniej sprzed 5,5 milionów lat.

W latach sześćdziesiątych wspomniany już profesor Borys Porszniew wystąpił z teorią, iż yeti jest żyjącym do dziś neandertalczykiem, któremu udało się przetrwać w odosobnieniu, na trudno dostępnych terenach. Jest to chyba jednak zbyt śmiała teoria. Wprawdzie pozycja systematyczna neandertalczyka i jego miejsce w rodowodzie *Homo Sapiens* są jednym z najbardziej spornych problemów antropologii, uczeni są jednak na ogół zgodni co do tego, że neandertalczyk uprawiał myśliwstwo i zbieractwo, znalazł ogień i zapewne odzież, oraz praktykował już obrzędy pochówków zmarłych. Dane, jakie zebrano o yeti, nie upoważniają do stawiania go w jednym szeregu z neandertalczykiem. Uczeni są raczej skłonni uważać yeti za stworzenie dużo bardziej prymitywne od neandertalczyka, zbliżone do pitekantropa. Inni zaliczają go po prostu do wielkich górskich małp. Cytowany już chiński antropolog, profesor Xu-Jon-gin, jest może najbliższy prawdy: "Nie jest to żadne brakujące ogniwo między człowiekiem i małpą. Jestem zdania, że jest to raczej ślepe ogniwo, jakaś gałąź prymatów, bardzo niedoskonała, wymierająca na naszych oczach. Nie są to jeszcze ludzie, ale już nie zwierzęta. Jest to coś w ogóle na zewnątrz obu tych gatunków". Wielu badaczy sugeruje, konieczność pilnego zorganizowania dużych wypraw badawczych. Inni sądzą, że znacznie więcej szans na spot-

kanie z yeti miałyby niewielkie ekspedycje. Ralph Izaard, uczestnik głośnej wyprawy "Daily Mail" pisze: "...grupa ludzi na śniegu jest równie łatwo dostrzegalna jak szereg czarnych żuków na białym obrusie", dodając jeszcze, że niemożliwe jest wprowadzenie dużego oddziału w "pustkę" jakiegos rejonu bez wywoływania niepokoju wszystkich żyjących tam dzikich zwierząt.

Tego samego zdania jest zapewne Reinhold Messner, słynny włoski himalaista, pierwszy zdobywca wszystkich czternastu 8-tysięczników. Po powrocie z ostatniej wyprawy Messner oświadczył, że dwukrotnie spotkał się ze zwierzęciem powszechnie określanym jako yeti, i że całym swym autorytetem potwierdza fakt jego istnienia.

Włoski rekordzista nie chce ujawnić, w którym miejscu i którego dnia wyprawy zobaczył stworzenie po raz pierwszy. Spotkanie nastąpiło w czasie zadyмки i Messner dopiero z odległości około 10 metrów zrozumiał, że ma przed sobą yeti - początkowo uważał majaczącą w zadymce postać za jednego z tragarzy tybetańskich. Yeti, który stał na tylnych nogach, nieruchomo obserwował himalaistę, być może popełnił podobny błąd i uznał Messnera za współplemieńca. Kiedy Messner przystanął zrozumiałwszy swą pomyłkę, stworzenie odwróciło się i zmieniając pozycję z pionowej na poziomą zaczęło uciekać. Messner zdążył zauważyć, że istota pokryta była gęstą sierścią, i że górowała wzrostem nad wysokim człowiekiem.

Drugie spotkanie miało miejsce o zmierzchu. Również i w tym przypadku Messner nie ujawnia szczegółów topograficznych ani dnia wyprawy. Spotkanie było o wiele bardziej dramatyczne niż poprzednio, bowiem tym razem stwor zaczął gwizdać, co - według zgodnej opinii Sierpów - jest wyraźnym sygnałem niezadowolenia i gotowości do ataku.

Messner ma opinię człowieka poważnego, którego słowom się wierzy. Skorzy zazwyczaj do sceptycyzmu dziennikarze, którzy rozmawiali z nim po powrocie do Włoch, nie mieli wątpliwości, że Messner mówi prawdę. Kiedy zastanawiano się, co będzie robił włoski rekordzista, autor 14 książek, właściciel wspaniałego zamku w Alpach; człowiek, który przyrzekł matce,

że więcej już nie wybierze się w góry powyżej 8 tysięcy metrów, Messner sam odkrył karty: wytknął sobie nowy cel życia, a celem tym jest wyprawa po dowody egzystencji yeti, istoty, z którą już dwukrotnie się spotkał.

SPIS TRESCI

Nessie i inne	5
Potwory głębin	27
Sprawa yeti	43

Druk na podstawie dostarczonych diapozytywów.

Ark. druk. 4.

Papier offsetowy mat., kl. III, 70 g, rola 61 cm

Zam. nr 224—225/89 — nakład 179.500 egz.

W-3

Zakłady Graficzne im. KEN w Bydgoszczy

Cena zł 280,—

SERIA Z MEDUZĄ

Meduza — kobieta zła, mściwa i piękna. Przemieniona przez Atenę w stwora o wielkich skrzydłach, szponach i węzowej koronie w miejscu włosów.

Jej spojrzenie zamieniało człowieka w kamień. Meduzę zabił Perseusz, a jej głowę Atena umieściła na swojej tarczy.



Druk na podstawie dostarczonych diapozytywów.

Ark. druk. 4.

Papier offsetowy mat., kl. III, 70 g, rola 61 cm

Zam. nr 224—225/89 — nakład 179.500 egz.

W-3

Zakłady Graficzne im. KEN w Bydgoszczy

ISBN 83-85058-00-1